Nr. 14. Warszawa, dnia 7 Kwietnia (26 Marca) 1894 r. Rok XIV.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2. k. 50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Żórawia Nr. 34.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ: *Polityka*: Rozłam młodo-czeski. — Tydzień polityczny. — *Odcinek*: Jan Reibrach. Sielanka, tłom. W. Bugiel. — *Badania naukowe*: Zmartwychwstanie carów, p. —k.—. — Rola podróży w wychowaniu jednostek i narodów, p. W. N. — *Literatura i sztuka*. Literatura francuska, p. L. W. — *Życie społeczne*: Wiązanka krakowska, p. Ferropara. — Taryfy pasażerskie, p. Drog. — Pamiętnik. — W dali. — *Sprawy ekonomiczne*: Stowarzyszenie kobiet fachowych, p. Zen. Piet. — Kronika. — Odpowiedzi redakcyi. — Ogłoszenia.

POLITYKA.

ROZŁAM MŁODO-CZESKI.

Jest to zwykłym losem stronnictw, związanych nićmi wyłącznie politycznemi, że one prędzej czy później zaczynają się różniczkować, a następnie rozpadać. W spojeniu utrzymać je może tylko albo walka, albo władza. Torysi i whigowie angielscy nie zdołaliby tak długo wytrwać w łączności, gdyby od czasu do czasu nie ujmowali steru rządów w swoje ręce. Centrum niemieckie dopóki walczyło przeciwko ustawom majowym, tworzyło zwarty zastęp; gdy wreszcie zburzyło nienawistną twierdzę, nie zamieniło się jednak na partyę rządzącą, wtedy uległo rozkładowi, który coraz bardziej się uwidocznia. Nie potrzeba było daru proroczego, ażeby to samo przewidzieć dla młodo-czechów. Stronnictwo to związało się ideą ataku na państwo austryackie i rozszerzenia granic swego samorządu, wreszcie nienawiścią do niemców i węgrów, wogóle żywiołów uprzywilejowanych w monarchii habsburskiej. Gdyby życie społeczeństw obracało się na tej jednej osi dążeń i sprzeczności politycznych, młodo-czesi mogliby stanowić spójną organizacyę przynajmniej dopóty, dopóki by nie osiągnęli swych celów. Ale życie to ma w sobie całe sploty spraw umysłowych, ekonomicznych, religijnych itd., które najrozmaiciej przedstawiają się wyznawcom tej samej idei politycznej. Jak tylko więc ów wspólny ogień przestanie wszystkich ogrzewać, natychmiast występują różnice, a za niemi niesnaski. Świat wcale nie znał zapatrywań młodo-czeskich na owe kwestye, nieobjęte polityką, bo oni sami, zajęci utarczkami prawno-państwowemi, nie zdawali sobie z tego sprawy. Uważano ich za radykałów; ale ten radykalizm wyrażał się jedynie w napastniczym stosunku do rządu i w dopominaniu się o „prawa historyczne.“ Nie były to więc żadne skrajne teorye i tendencye w duchu i rozumieniu zachodnio-europejskiem, ale był to taki radykalizm, jaki np. uprawiają irlandczycy. Wielu młodo-czechów, po strąceniu z ich przekonań pierwiastku politycznego, wytrzymałoby niezawodnie próbę najściślejszego konserwatyzmu, jak to widać z wielokrotnego przysuwania się ku nim najwsteczniejszych feodałów. Obok tych wszakże elementów szeregowały się inne, które w kwestyach społecznych, naukowych i religijnych zajmowały całkiem odmienne stanowisko. Objaw to całkiem naturalny i często spotykany, że powoli te części składowe zaczęły się wyosabniać, ścierać, a wreszcie kłócić. Doniesienia z ostatnich dni stwierdziły właśnie ten proces rozkładowy, który przewódcy stronnictwa usiłowali osłonić zaprzeczeniami, który jednakże dziś już nie ulega wątpliwości. Jak to zwykle się dzieje w podobnych wypadkach, zerwały harmonię żywioły istotnie radykalne, niespokojne, namiętne i do boju pochopne. Oskarżono niektórych posłów młodo-czeskich o porozumiewanie się z rządem, a więc o zdradzenie sztandaru. Oskarżenia tego nie należy brać dosłownie. Żaden z podejrzanych nie objawił chęci przejścia do obozu rządowego i nie porzucił dotychczasowej chorągwi; tylko bardziej umiarkowani, spokojniejsi, niechcący posuwać się za daleko, słowem, ludzie o skłonnościach i zasadach konserwatywnych pragnęliby bądź zakończyć walkę w pewnych zatargach układem, bądź też prowadzić ją wyłącznie na gruncie prawnym. To się nie podoba ich zapalonym sojusznikom, którzy wymagają więcej, pragnęliby iść do celu prędzej i w drogach nie przebierać. Nazwano ich „omladinistami.“ Ostatni proces przeciwko stawarzyszeniu tej nazwy wykazał jego łączność z młodo-czechami, ale znowu nie ze wszystkimi, tylko z pewną ich grupą, radykalną. Ten związek wydaje się odłamowi umiarkowanemu niepożądanym i niebezpiecznym. Stąd rozłam w partyi, stąd wyróżnienie się dwu żywiołów, dwu barw, dwu prądów. Dotychczasowi kierownicy ruchu młodo-czeskiego usiłują to jego rozszczepienie się na dwa rozbieżne kierunki zataić i zażegnać, ale wątpimy, ażeby te ich zabiegi okazały się skuteczne. „Omladiniści,“ czy jak się tam ochrzczą, w każdym razie zwolennicy programu wszechstronnie radykalnego będą coraz bardziej odcinali się od swych umiarkowanych towarzyszów i może niedługo przybiorą wobec nich taką samą postawę, jak młodzi wobec starych. To ostatnie przeciwieństwo już w naturze swojej nie ma warunków długiej trwałości i mogło być właściwem dla pewnej chwili, dla pewnego okresu, który minął, ale nie dla dalszego rozwoju życia. Bo cóż to wyraża: starzy i młodzi? Nic, zwłaszcza gdy młodzi zestarzeją się. Tu, jak wszędzie, muszą wystąpić różnice bardziej zasadnicze, niż wiek, niż nawet pogląd na umowę wiedeńską lub taktykę wojny z niemcami. Jeżeli Rieger twierdzi, że nie trzeba robić awantur, przemawiać taktownie i oględnie a odzyskiwać utracone prawa powoli i stopniowo, Gregr zaś mniema, że należy burzyć się, złorzeczyć, piorunować i żądać odrazu wszystkiego, to te dwa poglądy, mimo całej swej odmienności, nie są różnymi systemami zasad, lecz dwoma sposobami postępowania w jednym kierunku. Dopiero „omladiniści“ wprowadzają rzeczywisty rozdział zarówno co do metody, jak co do celów. Od ich siły zależeć będzie ich wpływ na przyszłość narodu, już dziś wszakże wytworzyli oni fakt godzien uwagi. Dlatego podkreśliliśmy go w kronice bieżącej życia polityczno-społecznego Czech.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

W tygodniu ubiegłym odezwała się ze szczególną siłą tęsknota do pokoju. Paryski korespondent *Timesa* ogłosił, że król duński wyraził przed pewnym dyplomatą hiszpańskim zamiar zaproponowania mocarstwom rozbrojenia się. Wprawdzie doniesieniu temu urzędownie zaprzeczono, tkwiąca w niem jednak idea dała pobudkę do rozmyślań, życzeń, westchnień i rad. Tak np. b. minister pruski, Gossler, wystąpił w *Milit. Wochenblatt* z projektem, ażeby państwa zobowiązały się przez lat dziesięć nie prowadzić wojny i ażeby wyczerpane z sił militaryzmem mogły odpocząć, pokrzepić się i załatać swe dziury budżetowe. Byłby to rzeczywiście oryginalny kontrakt, tak oryginalny, że chyba nie znajdzie zwolenników. Ale wszelki pomysł rozbrojenia wydaje się dobrym tam, gdzie już poprostu niema skąd brać na potrzeby wojskowe. W tem położeniu znajdują się Niemcy, a nadewszystko Włochy.

Minister skarbu, Sonino, wynalazł nowe źródło dochodu (opodatkowanie renty), spotkał jednak tak silny opór w komisyi parlamentarnej, wyznaczonej do zbadania jego projektów, że albo on będzie musiał ustąpić, albo — co prawdopodobniejsze — Izba zostanie rozwiązaną.

Cesarz niemiecki wyjechał do Abazyi, gdzie przebywa jego żona z dziećmi i gdzie ich odwiedził Franciszek Józef, który tego samego dnia powrócił do Wiednia. Wilhelm II z rodziną ma się udać do Wenecyi, gdzie znowu spotka się z królem włoskim. Gazety urzędowe zaręczają, że te spotkania nie mają charakteru politycznego, ale kto im wierzy i kto wogóle wie coś stanowczego?

Tymczasowa umowa celna rusko-austryacka została już wprowadzona i zapewnia obu stronom taryfy państw najbardziej uprzywilejowanych. Po zawarciu traktatu rusko-niemieckiego wpłynęły do Rosyi fale agentów niemieckich, otwierających rynki dla towarów tamtejszych. Powszechnie zadziwia fakt, że mimo zniżki cła, ceny zboża nie poszły w górę, a nawet spadły. Czy jest to wynikiem obfitych zapasów za granicą, czy też robotą spekulacyi, pragnącej nabywać tanio, trudno orzec. Zdaje nam się, że manewry kupieckie grają tu ważną rolę.

W Serbii dokonał się znowu przewrót: gabinet Simicza otrzymał nagle dymisyę, a powołany został inny pod przewodnictwem Nikołajewicza. Wtajemniczeni tłomaczą zmianę tem, że poprzedni nie okazywał dostatecznej energii w tłumieniu wrzenia i buntu radykałów.

Liberałowie angielscy, nie zważając na dotychczasowe porażki, posuwają dalej ruch decentralizacyjny. Nie przeprowadziwszy samorządu Irlandyi, podjęli sprawę samorządu Szkocyi. Mianowicie Izba niższa przyjęła wniosek utworzenia dla niej osobnego wydziału prawodawczego, który będzie się zajmował wyłącznie ustawami tego kraju.

Między kedywem egipskim a rządem angielskim wybuchło nowe starcie o następcę prezesa gabinetu, Riazy. Każda strona chce na to stanowisko wprowadzić swego kandydata, któryby naturalnie strzegł jej interesów. Dotąd nie znaleziono takiego, któryby się podobał obu.

Zwłoki Kossutha zostały sprowadzone do Pesztu i pochowane uroczyście. Wywołane tym pogrzebem awantury stłumiła rodzina zmarłego, która ogłosiła publicznie, że nie przywiezie ciała, jeżeli burzyciele nie zaprzestaną skandalów ulicznych. Ceremonia żałobna odbyła się bez udziału przedstawicieli rządu, ale z zupełną ich sympatyą.

BADANIA NAUKOWE.

ZMARTWYCHWSTANIE CZARÓW.

Komuś mogłoby się zdawać, że stulecie XIX, tak ongi dumne ze swojej trzeźwości, iż przywłaszczało sobie miano wieku myśli krytycznej, pozazdrościło schyłkowi swojego poprzednika i postanowiło wskrzesić z grobu zapomniane postacie Cagliostrów i innych wydrwigroszów. Ostatnimi czasy namnożyło się bowiem szarlatanów bez liku, dumnie drapujących się w szatę arcymądrości mistycznej i wyzyskujących bezlitośnie łatwowierność tłumów. Ci szydzą z mozolnego dobytku nauki i przed umysłem maluczkich roztaczają „tajemnice,“ przyniesione z dalekiego Wschodu, i bają, że fakir hinduski w pięcie posiada więcej wiedzy, aniżeli pozytywista europejski w całej głowie. Tamci wskrzeszają czasy różnych cudotwórców, wprawdzie nie mówią jeszcze o eliksirze życia, ale obiecują na całe lata zawieszać czynności organizmu. Inni umieją wskazać sposób rozkazywania mężom z odległości, wynoszącej setki wiorst, i stwarzania w nich pobudek woli nieprzepartej mocy. Okkultyzm, budyzm, egzotyzm — ktożby zresztą zdołał jednym tchem zliczyć te wszystkie *izmy*, które poczynają tłumnie podnosić głowę w obecnej chwili i wskrzeszać tradycye szamańszczyzny i średniowiecznego wiedźmowstwa! Niekiedy zdaje się, iż niebawem wystąpi prorok, który obwieści, iż odkrył Łysą górę i posiada środki przenoszenia tam na miotle, powietrzem, żądnych dyabelskiego uścisku dam — że kandydatek do pocałunku znalazłoby się sporo, o tem zgoła nie wątpię. A nie myślmy, ażeby to czynili jedynie wydrwigrosze, chciwi zysku. Duch mistycznych *izmów*, to kokietowanie z Niepoznawalnością, przedostaje się do książek ścisłej nauki, rozsiada się na stronicach, które wyszły z rąk ludzi europejskiej sławy. Jasnowidzenie, odgadywanie nieznanej przyszłości i mnóstwo innych uroków czarodziejskich stało się przedmiotem powszechnego dociekania znanych specyalistów wiedzy. Z wielu takich wskrzeszonych praktyk dawnych wiedźm zatrzymamy się nad jedną. Przed dwoma laty ukazała się książka niejakiego pułkownika Rochas'a*), administratora paryskiej szkoły politechnicznej. Zaznaczmy mimochodem, że wyłożone tam fakty znalazły u nas echo w jednym z tygodników; autor (właściwie autorka), student przyrody czy też

*) Rochas, *Etats profonds de l'Hypnose.*

JAN REIBRACH.

SIELANKA.

Serce Małgosi zabiło silniej, gdy posłyszała pewne kroki na schodach. Igiełka w rękach zaczęła szybciej migotać; biała szyja opromieniona światłem lampy pochyliła się niżej. I w istocie, gdy ojciec Marchand zawołał: Proszę, poznała głos Henryka.

Młody człowiek pozdrowił zebranych, usiadł na krześle. Pani Marchand podniosła nieco osłonkę, aby światło nań padało i gdy on pytał o zdrowie, oglądała go ciekawie. Zazwyczaj przychodził jak sąsiad, w białej bluzie malarskiej, dziś miał na sobie, niby w niedzielę, palto. Całe ciało jego zlewało się w jedną czarną plamę, a przy niej twarz biała dziewczęcia wydawała się jeszcze bielszą i bardziej różową. I wyglądał jakiś zatrwożony, obracał kapelusz w rękach, słowa zaś wypowiadane były od niechcenia, jak gdyby na miejscu ich inne miały były stanąć.

Od czasu do czasu, lekko pokaszliwając, Małgosia zachęcała go. Od niej wyszła właściwie ta myśl. On miał lat osiemnaście, ona szesnaście. Wiedzieli o życiu, że skoro dwoje ludzi się kocha, łączą się. Tak byłoby dobrze obojgu razem, w młodem małżeństwie. Bo widzieć się tylko rano w oknie, albo pogwarzyć z sobą dwa trzy razy tygodniowo, przecież za mało. Potem tak smutno przez resztę dni.

On zaraz zgodził się. Ale teraz, w stanowczej chwili, czuł trwogę. Ogarniało go uczucie jego ubóstwa. Jak gdyby poraz pierwszy był u Marchandów, zaczął dostrzegać ich dobrobyt. Ojciec z wielkim brzuchem, nawet kamizelka nie mogła go zwykle ogarnąć, a przy zegarku wisiał złocony łańcuszek. Patrząc tylko jak puszczał dym z fajki, można było odgadnąć, że siedzi tu dawny sklepikarz, obecnie rentier. A matka wybladła, zżółkniała trochę przez szereg lat swego siedzenia za kontuarem, starała się zawsze składać dowody dystynkcyi.

Tymczasem Małgosia niecierpliwiła się, zwracała ku niemu głowę, nie szyjąc. Nabrał odwagi i wpatrzywszy się w jej twarzyczkę, począł od razu, jak gdyby skakał w wodę:

— Oto, panie Marchand, przyszedłem... chciałem... mianowicie idzie o Małgosię. Ona zgadza się...

Nie mógł skończyć i w zakłopotaniu obrócił się do dziewczyny:

— Nieprawdaż, Małgosiu?

— Ta, ta, ta! To ci dopiero sprawa — zawołał ojciec Marchand. — A to ci dopiero sprawa.

Zdawało mu się, że ktoś go ogłuszył. Wytrzeszczył oczy, potem oświadczył krótko:

— Jesteś miłym chłopakiem. Lubimy cię. Rosłeś w naszych oczach. Ale co to, to nie, nic i nie!

Wytrząsł popiół z fajki na kominek i sapał z niezadowolenia. Mateczka, zerkając z pod okularów, cisnęła:

— Nie masz ani grosza, ojciec nic ci nie zostawił.

— Ależ ja nie żądam pieniędzy — wyjąkał Henryk zrozpaczony. Będę zarabiał, zarabiam!..

Ojciec coraz mocniej czerwieniąc się, wzruszył ramionami.

— Wszystko to dzieciństwa. Dzieciakowstwa. I aby nie przewlekać, wyświadczysz mi grzeczność, nie wchodząc do mego domu do czasu, aż zmądrzejesz. Rozumiesz? Nie zawracaj głowy dziewczynie, bo ja cię nauczę!

Małgosia płakała. Przestał i zwrócił się do niej:

— Pamiętaj, miej oczy otwarte.

Potem wracając do Henryka:

— A teraz do widzenia.

Po tygodniu ledwie zobaczył Henryk Małgosię przelotnie w oknie, bladziutką z bólu. Widok ten spotęgował dziesięćkrotnie jego boleść. Z początkę kipiał gniewem. Popychało go do stanowczych postanowień, układał plany, myślał o porwaniu i ucieczce w dalekie kraje. Potem przygnębienie go zgięło, ciężkie i smutne. Czuł się na siłach do nadzwyczajnych trudów, zdolny był świat podnieść. Ale dokąd pójdą bez pieniędzy, nikogo nie znając? Sen jego uderzał głową o niewzruszoną rzeczywistość, jak ptak schwytany uderza w niski sufit klatki. I bez Małgosi, bez nadziei zobaczenia jej, bez okrutnych oczekiwań, że wyjrzy pewnego dnia z okna i po-

medycyny, podał je w najlepszej wierze, bez cienia wątpliwości. Okoliczność tę podkreślamy. Jeszcze przed laty pięciu nikt z takiem wykształceniem nie uczyniłby czegoś podobnego, bo podawszy wiadomość, dorzuciłby chociaż uwagę, że jednak należy jeszcze sprawdzić, czy de Rochas nie padł ofiarą własnego temperamentu. Otóż wspomniany francuz usiłuje dowieść, że czarownice, kiedy lepiły z wosku figurki ludzkie i męcząc je, tem samem przyczyniały cierpienia i nawet śmierć osobom, które owe posążki miały przedstawiać, że te czarownice istotnie osiągały cel swoich wysiłków. Zrobił on podobne postacie z wosku, hypnotyzował kobietę i zapomocą całego szeregu manipulacyj stykał posążek z osobą, względem której przedsiębrał doświadczenia. Skutkiem tego powstawał jakiś tajemniczy związek między żywą istotą a jej martwą podobizną. Kiedy Rochas kłuł szpilką figurkę woskową, naówczas zahypnotyzowana doznawała odpowiednich bólów w stosownem miejscu na swojem ciele. Albo znowu brał szklankę wody i na nią przenosił właściwości czucia, a uderzając ciecz, sprawiał cierpienie ofierze, którą wybrał do doświadczeń. Rochas nawet twierdzi, iż wylanie takiej wody mogłoby w najwyższym stopniu fatalnie wpłynąć na losy osoby uroczonej i że jedynym środkiem wyjścia jest, ażeby ona sama taką wodę wypiła. Ledwie książka ukazała się, a już dzienniki, żądne nadzwyczajności, pochwyciły jej treść i roztrąbiły ją na wszystkie strony cywilizowanego świata. Zjawiła się cała teorya celem pogodzenia owych nowoodkrytych faktów z naukową filozofią naszego wieku. Wiedźmy pasowano na osoby, które nieświadomie odkryły jednę z tajemnic duszy ludzkiej, i usnuto teoryę „wyzewnętrzniania“ się z organizmu ludzkiego wrażliwości uczuciowej. Dokoła każdej istoty człowieczej ma się unosić szczególna atmosfera, którą rządzą prawa interferencyi, tak iż po za naszem ciałem powstają specyalne punkty, które lubo są odległe od jego powierzchni na parę łokci, ale znalezione czują, jak gdyby były w organizmie. Co więcej, tę atmosferę uczuciową można materyalizować w figurkach, szklance wody, wogóle dokonywać wszelkich „uroków.“

Teorya Rochas'a odbywała pochód zwycięzki po świecie. Rozmawiałem o tym przedmiocie z bardzo wielu osobami i muszę przyznać, że nigdy nie spotkałem się ze stanowczą niewiarą. „Wprawdzie—ale,“ „tak mało wiemy!“, „nauka posuwa się,“ w tych i podobnego rodzaju twierdzeniach dawano mi odpowiedź. Spotykałem nawet nazwisko tego autora, przytaczane na dowód, że dusza ludzka sprawi badaczom jeszcze mnóstwo niespodzianek. Słowem, odkrywca uzewnętrznionego czucia uznany został za człowieka, który już złożył trwałą cegiełkę w gmachu wiedzy.

Obok francuskiego badacza moglibyśmy postawić jeszcze parę podobnych wypadków, ale nie chcemy rozciągać artykułu. Nadmienimy tylko jeszcze o jednym szeregu doświadczeń, które czynił dr. Luys, kierownik szpitala La Charité w Paryżu, postać znana w świecie medycznym. Tym razem nie chodzi o jakąś nadzwyczajność, lecz przeciwnie, o kwestyę prostą, tak prostą, że aż wstyd nam zestawiać ją obok „epokowych“ odkryć Rochasa. Mianowicie wspomniany lekarz, autor monografii o mózgu i jego czynnościach, przetłomaczonej swojego czasu na język polski przez dr. Dunina, zrobił masę doświadczeń nad zahypnotyzowanemi osobami celem odkrycia, czy istota ludzka odczuwa ów dziwny stan cząsteczek metalu, zwany magnetyzmem. Za Atlantykiem czyniono pod tym względem próby w sposób iście amerykański. W pracowni Edisona brano olbrzymie elektromagnesy i badano wpływ ich na krew i wogóle życie żaby; w środku walca elektromagnetycznego, mającego w promieniu dwie stopy a siedem cali grubości, umieszczono chłopca i poddano nadzwyczaj napiętemu działaniu elektryczności. Ale uczonym amerykańskim jakoś nie udało się odkryć najmniejszych wpływów magnetyzmu na organizm. Wywnioskowali więc, że organizm ludzki nie jest wrażliwy na działania najpotężniejszych magnesów, znanych dzisiaj nauce — przynajmniej niepodobna dostrzedz ich wpływu; że nie oddziaływają one na żelazo, zawarte w krwi ludzkiej, ani na jej krążenie, na nerwy i mózg. Chociaż dziwili się temu, nie zauważyli żadnej wskazówki, świadczącej o owej wrażliwości. Tymczasem dr. Luys urodził się widocznie pod szczęśliwą gwiazdą, bo czego nie wyszukali zamorscy uczeni, zbrojni w najpotężniejsze narzędzia, on odkrył przy pomocy słabego napięcia magnesów. Zahypnotyzowane przezeń osoby odróżniały jeden biegun od drugiego zmysłami. Nawet wzrok nie odmówił im w tej mierze swojego udziału. Stale widywały nad jednym biegunem wytryski płomienia niebieskiego, nad drugim czerwonego. Ba, Luys doszedł do większej sztuki. W magnetycznej koronieześrodkowywał czyjeś cierpienia i kładł ją na głowie danej osoby, która też zaczynała odpowiednio bredzić. Rozumie się, że doświadczenia te przeszły do lekcyi dr. Luysa, stały się „zdobyczą“ nauki, widziane były przez setki osób i roztrąbione wszerz i wzdłuż cywilizowanego świata przez dzienniki.

Ale plemię Slazów, powątpiewających o prawdzie słów św. Gwalberta, nie zupełnie wymarło jeszcze na świecie, a powódź „nowych prawd“ nie unicestwiła krytycyzmu. Ktoś postanowił zbadać rzecz bliżej, a wybrał Luys'a i Rochas'a. Jest to niejaki dr. Ernest Hart. Warto poznać wyniki, do jakich doszedł, można je bowiem zastosować do wielu innych przypadków *).

Hart udał się do Paryża i naturalnie zwrócił się do dr. Luys'a osobiście. Ten popisał się przed nim swojemi doświadczeniami. Rozumie się, wypadły one jak najlepiej. Znajdujące się w hypnotycznem uśpieniu osoby istotnie widziały fioletowe i czerwone wytryski z końców magnesu, ulegały oddziaływaniu słabo namagnesowanych sztabek i prętów. Rochas, pracujący w klinice szpitala La Charité, także nie pokpił sprawy. Związek pomiędzy szklanką wody lub posążkiem z wosku a osobą żywą, poddany hypnozie, został stwierdzony doświadczeniem. Trzeba zatem było posiadać dużo niewiary, ażeby zaprzeczyć faktom oczywistym. Otóż dr. Hart należał do takich sceptyków. Zrozumiał wszakże, że mówić o swojem niedowiarstwie zarówno Luysowi, jako też Rochasowi, byłoby nietylko nadaremnem, ale wprost szkodliwem. Nie dlatego, ażeby

*) *The Revival of Witchcraft*, ogłoszone naprzód w *Nineteenth Century*, później zaś w *Popular Science*.

---

chyli się nad nim, kojąc cierpienie, byłby się zabił.

Nareszcie jednego wieczoru wykradła się. Uścisnęli się, nie mając sił wymienić słowa, nie oddychając prawie. Ona cierpiała, jak on, jak on marzyła o ucieczce, o śmierci. Opowiadała o tyranii rodziców. Z początku kpiny i chodzenie w ślad za nią. Potem groźby przeciw Henrykowi, bo posądzano go, że ją opanował wbrew jej woli, oburzano się, że ona wciąż płacze i nie je.

Henryk patrzył na nią. Ściskał swemi ramionami jej opadłą z ciała drobną postać i smutek bezbrzeżny go ogarnął, gdy w połyskach gazu ujrzał pod oczami rozgorączkowanemi fioletowe podkrążki. Już tego było za wiele, aby ją jeszcze dręczyć, wymęczać. A gdy dowiedział się, że bili ją nawet za przywiązanie niezłomne do niego, że nazwali przewrotną i zepsutą, pięść się ścisnęła.

Tak poszli aż nad brzeg Sekwany. Usiedli na ławce, trzymając się za ręce, z oczami utopionemi w strasznej nieskończoności, otwierającej się przed ich dolą. Milczeli. Wspomnienia szczęśliwych godzin płynęły przed ich myślami. Przypomniawszy sobie, że byli obok siebie, że widzieli się zawsze, ujrzeli życie swej pierwszej młodości opromienione światłem czystem, jasnem. Widnokręgi rozsłaniały się przed nimi w ogrody słoneczne, rajskie. Kroczyli pod zorzami siejącemi pogodę. I naraz to wszystko znikło. Padli w próżnię, w mrok. Żadnego promyka, żadnej nadziei.

Godziny mijały niepostrzeżenie. Kilka razy Małgosia szepnęła:

— Muszę wracać.

Ale pozostawała, nie ruszywszy się nawet, poczuwszy uścisk dłoni Henryka.

Potem znowu mówiła:

— Jak to musi być późno! Będą mię bili.

I dla niej, podczas gdy Henryk na te słowa rozpalał się oburzeniem i ściskał silniej jej rączkę, jak gdyby zapewniając ją o swej ochronie, przyjemnie było myśleć, że z powodu jego będzie bitą.

Wtedy, przejęci trwogą, że może nigdy już nie ujrzą się, objęli się mocno. Nie mogli rozejść się, oderwać się jedno od drugiego. Rozstanie się, z każdą chwilą bardziej naglące, stawało się dla nich straszniejszem od śmierci; i znowu z dna ich przygnębienia podniosła się żądza nicości. Śmierć nie zdawała się im straszną. Nawet zwolna wyłaniała z siebie dziwne widzenie, opanowujące rozpacz. Niby uchodzili z życia, jak z więzienia, aby w dwoje szybować po przestrzeni, pod niebiosami. Śmierć złociła się blaskiem swobód, ostatecznie zdobytych, rozkoszą bez granic wieczystej miłości. Dwoje biednych dzieci, których sen życie rozdarło, wołała ku sobie pocieszycielka.

— Chcesz? — spytał Henryk.

Zrozumiała. Dokończyła sama:

— Umrzeć?

Króciutko, lekkiem słówkiem odrzekła: „tak.“ Głębokie światło zapaliło się w jej oczach i wzniosła je wysoko ku gwiazdom.

Chwilę siedzieli jeszcze, z duszami zlanemi w jedno, zespojonemi w pocałunku.

Potem powstali, zeszli ku rzece.

Małgosię przebiegł dreszcz.

— Jak woda musi być zimną!

Uśmiechnęła się jednak. Te fale stanowiły jedyną przeszkodę, jaką należało zwalczyć, aby żyć z sobą zawsze. To nie było samobójstwo, lecz ślub. Wokoło szumiał, zalewając ich milczenie, nocny gwar Paryża. Ucieleśnienie życia, którego pęta zrywali, miasto wydawało się im już dalekie, stracone w nocy, z której uchodzili. Przeciwnie brzegi z oświecającemi je latarniami biegły jakby początek szlaku promiennej nieskończoności. Jeszcze inne światła, na mostach, białe i czerwone, mrugały jak gwiazdy. Powiewy wiatru kołysały niemi, igrały, rozprászały błyski rzucane na rzekę. Ale tyle ich było, tak gęsto ścieliły się na nurty, że Sekwana podobną stała się do nieba, usianego gwiazdami zasnutego światłem.

— Nie boisz się? — spytał on.

Jej całe małe ciałko przycisnęło się drżąc ku niemu. Promienna odparła:

— Nie!

Uścisnął ją, pocałował w usta. Wtedy ona zamknęła oczy, napół mdlejąc. I gdy ziemi jej brakło pod stopami, niesiona w ramionach lubego ku nieskończoności, czuła tylko przenikające całą duszę wzruszenie dziewicy, która wstępuje do łożnicy małżeńskiej.

Tłom. *Wł. Bugiel.*

ci ludzie celowo fałszowali prawdę i umyślnie szerzyli bzdurstwa; ale obaj tak przejęci byli odkrytemi zjawiskami, że instynktowo przeszkadzaliby zamiarom niewiernego Slaza. Hart postanowił zatem udać zgoła przekonanego i do studyów tajemnie wprowadzać czynniki, nieznane obu wymienionym poszukiwaczom. Za daleko by nas zaprowadziło drobiazgowe streszczanie jego wysiłków. Przedstawimy więc tylko, w jaki sposób zdemaskował rzetelność faktów, ogłoszonych w kwestyi uzewnętrznienia się czucia. Po raz pierwszy Hart zapatrzony był niby w osobę, której czucie zmateryalizowano w posążku woskowym. Na drugiem posiedzeniu zgodzono się uzewnętrznić czucie w szklance wody wzorem tak zwanego *envoûtement*, praktykowanego przez czarownice średniowieczne! Ale Hart zręcznie podstawił jednę szklankę z wodą zamiast drugiej, tak iż wszystkie doświadczenia publiczne czyniono nad naczyniem, w którem nie zmateryalizowano czucia; a nadto sam tajemnie robił je mimochodem nad szklanką, obdarzoną czuciem. I cóż się okyzało? Widzowie mieli wszystkie dawniej oglądane objawy; zahypnotyzowana kobieta śmiała się, jak gdyby ją łaskotano, wrzeszczała z bólu, jakkolwiek mącono wodę niezaczarowaną! Podobnie zrobił z lalkami; uroczoną schował zręcznie do kieszeni, nad niezaczarowaną zaś odbywał próby. „Ażeby doświadczenie uczynić wzorowem, odciąłem lok włosów i chciałem przymocować do lalki. Pułkownik de Rochas z całą powagą zabrał się do tej sprawy, ofiara zaś, pogrążona w śnie głębokim, ku naszej uciesze wołała: *c'est trop, c'est trop!* Później wywoływaliśmy, na nieczarowanej lalce, wszystkie objawy rzucania uroku przez czarownice, o których tak wiele pisały wielkie dzienniki Francyi i Anglii. Zahypnotyzowana czuła dotkliwie wszystkie dotknięcia i ukłucia, wszelkiego rodzaju nieokreślone gorąca i męki, kiedy lalkę dotykano w miejsca, o których nie wiedziała, gdzie są położone! A gdyśmy uczynili ruch, jak gdybyśmy chcieli usiąść na jej podobiznie, była wtedy nadzwyczaj przygnębioną. Muszę ze wstydem wyznać, że istotna lalka, tj. ta, na którą przenieśliśmy czucie, leżała na boku nietknięta, okrutnie przekłuta przeze mnie szpilką przez samo serce, a jednak zahypnotyzowana nie uczuła najmniejszych bólów!" Komiczne wprost wrażenie czynią te ustępy doświadczeń Harta, kiedy przynosi on lalkę z innego materyału — Rochas sięga pamięcią do praktyk wiedźmowskich, czy w nich używano do uroku podobnej substancyi i dopiero wtedy uspokaja się, pewien dobrego rezultatu, gdy przypomniał sobie, że jakiś autor łaciński wspomina o takim materyale... Nie inaczej działo się z owymi magnesami i kolorowymi wytryskami. Ktoś widział, jak ze zwykłego nienamagnesowanego kawałka żelaza wychodziły promienie aż sześcioyardowej długości, tymczasem nic podobnego nie dostrzegł w istotnym magnesie!..

Hart, jak rzekliśmy, ani chwili nie podejrzewa dobrej wiary dr. Luys'a i pułkownika Rochasa. Zwłaszcza ten ostatni, kiedy ów krytyk odkrył przed nim swoje fortele, był w najwyższym stopniu strapiony, że dał wystrychnąć się na dudka. A zatem zahypnotyzowane osoby były źródłem tych przedwczesnych odkryć. Czy zatem były one oszustami, celowo wprowadzającymi badaczów na manowce? Hart nie wątpi, że w takich „subjektach," które w klinice służą za żyjące narzędzie doświadczeń, wyrabia się pewna skłonność do szalbierstwa— wszak z tego żyją! Ale tkwi w nich sporo jeszcze czegoś innego. Według Harta, badacz poszukuje wszystkiego, nic ma jasnej idei, jednakże coś tam w mózgu jego kiełkuje. Magnes np. winien działać na zmysły zahypnotyzowanego! Sam o tem nie wiedząc, poddaje myśl odpowiednią badanej osobie, która znowu niewolniczo nią się przejmuje i uzupełnia. Uczony znajduje coś i swojemi czynnościami daje dalsze wskazówki. Po pewnym czasie używana do doświadczeń osoba zostaje należycie wytresowaną w stosownym kierunku i tresurę tę przekazuje innym subjektom. Słowem, badacz poszukuje ucieleśnionego w kimś innym własnego życzenia i naturalnie może odkryć niestworzone rzeczy. „A zatem to wszystko było suggestyą!" — takie wrażenie na pułkowniku Rochas wywołały odkrycia Harta co do uroków, przeze ń odszukanych.

Bądź co bądź, pozostaje jeden charakterystyczny szczegół do zanotowania. Jest to właśnie owa wiara u takich Rochasów do poddania komuś myśli o rzeczywistości uroków. Wiedźmy nie istnieją, ale umysł nowożytny, mimo krytycyzmu, pozostał jeszcze na szczeblu, na którym wierzy w możliwość jasnowidzeń, uroków i innych praktyk czarodziejskich, a taka jego natura prowadzi go do odpowiednich studyów.

—k.—

ROLA PODRÓŻY
W WYCHOWANIU JEDNOSTEK I NARODÓW.

Thoulet, znakomity oceanolog francuski, miał w Nancy odczyt, w którym wykazał, jak wielki wpływ kształcący wywierają na człowieka podróże. Podróże kształcą nasz wzrok tak fizyczny jak i umysłowy; przynoszą nam one tysiączne wiadomości a zarazem doświadczenie, którego wartość będziemy mieli sposobność w dalszem życiu należycie ocenić. Każdy tam znajdzie coś dla siebie, a poeci i artyści nie będą tu najgorzej uposażeni.

Szczególniej kształcącemi a zarazem pouczającemi są podróże po krajach dzikich. Miałem, mówi Thoulet, szczęście odbyć takie podróże i obecnie nic nie wydaje mi się milszem jak powtarzać je w myśli, w słowie, a nadewszystko w czynie. Nic nie może wyrazić uroku, jakiego się doznaje przy oglądaniu tego, czego nikt przedtem nie widział; przy obserwowaniu ziemi takiej, jaką ona się stała pozostawiona samej sobie od wieków; przy zbrataniu się z nią, przez które przestajemy być człowiekiem, aby się stać przyrodą. Opanowywa nas jakiś spokój niezmierny, uwalniamy się od brzemienia cierpień, kłopotów i niepokojów, od więzów odpowiedzialności; doświadczamy na chwilę niewymownej radości, przestawszy być sobą, poddajemy się jak masa bezwładna przemożnemu ruchowi otoczenia, a jednak czujemy się jeszcze istotami myślącemi. Pośród wspomnień obecnie już dalekich przypominam sobie wędrówkę przez las dziewiczy, podczas której doświadczałem takiego upojenia, iż moje ciało, zahartowane zresztą, stało się prawie nieczułe na różne cierpienia, trudy, głód, gorąco, zimno, na ciągłą wilgoć, brak snu, na ugryzienia moskitów; wszystko się zapomina, i doświadczałem tylko rozkosznego odrętwienia. Zdarzało mi się powielekroć śród puszcz Stanów północnych, że zmęczony całodzienną pracą porzucałem nad wieczorem obozowisko i zapuszczałem się w gluszę leśną; ukryty w trawie nad brzegami nieznanego jeziora opromienionego ostatniemi blaskami konającego dnia, byłem świadkiem scen wspaniałych, które pozostawiły w mej duszy niezatarte wspomnienie. Ostatnie blaski zachodu powlekały niebo purpurą, kula słoneczna zapadała za głuchą puszczę, której kontury odrzynające się na tle nieba zacierały się powoli. Wielkie cienie z początku różowawe, później fioletowe, wreszcie czerniejące, wydłużały się na powierzchni jeziora, którą zaledwie marszczyły powiewy wieczorne; cała natura kładła się do snu śród ciszy. Ptaki wstrząsały skrzydłami a daniele i łosie ze wspaniałymi rozłożystymi rogami zbliżały się spokojnie do wody; zaspokoiwszy pragnienie, wznosiły dumnie swe głowy, rzucały powłóczyste spojrzenie dokoła i powracały do lasu na nocne legowiska. Napawałem się z rozkoszą tą harmonią natury; życie dzikie wydaje się wprawdzie z początku twardem, ale gdy ciało nasze przywyknie do takiego życia, trudniej jeszcze przychodzi nam porzucić je, niż przychodziło rozpoczynać.

Ale szukanie i odczuwanie poezyi nie jest jedynym celem ludzkości, szczególniej wobec coraz trudniejszych, coraz bardziej komplikujących się warunków bytu. Schwytany w pewien rodzaj wiru, otoczony współzawodnikami, człowiek staje wobec alternatywy: zginąć lub zwyciężyć, a nagrodą za zwycięstwo nie jest dlań bynajmniej czcza sława, ale poprostu tylko prawo do życia, albowiem zwyciężony zostaje usunięty bez litości. Człowiek więc musi się dobrze uzbroić do walki, a w tem przygotowaniu najwięcej środków dostarczą mu podróże. Podróże są w tym względzie nie tylko użyteczne, ale nawet nieodzowne.

W historyi ludzkości zdarzają się chwile krytyczne, rozpoczynające nowe epoki. Ludzkość postępuje bez przerwy, a jednak w pewnych peryodach zdaje się powstrzymywać i skupiać. Nagle rozlega się grom burzy, a pośród błyskawic i piorunów w boleściach i we krwi rodzi się myśl nowa. Nabiera ona ciała, staje się realną i oto oblicze świata ulega zmianie. Do takich chwil należy nasz wiek, wiek rozkwitu nauk, wiek opanowania i zużytkowania pary i elektryczności przez geniusz człowieka. W zrównaniu wiążącem ściśle bieg zjawisk historycznych współczynniki, czas i przestrzeń niegdyś tak potężne, dziś są prawie zupełnie usunięte. Człowiek przenosi się szybko i wygodnie przez obszary lądowe i morskie; słowo jego przebiega w jednej chwili po drucie telegraficznym od jednego konca globu do drugiego. Rzeki, góry, pustynie, oceany, wszelkie przeszkody są usunięte. Nauka, postępując od odkrycia do odkrycia, dała człowiekowi do rozporządzenia siły tak zastraszające swą potęgą i dokładnością działania, że walka brutalna, wojna krwawa staje się coraz bardziej niemożliwą. Jeżeli kiedyś dwie rasy ludzkie oświecone powierzą losy swe losom takiej wojny, to rezultat jej nie będzie już hazardem, da się łatwo przewidzieć: będzie dwóch pokonanych, dwóch unicestwionych. Zwycięzcą będzie tylko ten naród postronny, który przyglądał się zniszczeniu z założonemi rękami. Charakterystyczną cechą naszej epoki jest przygotowywanie przez naukę upadku krwawych wojen. Problematy polityczne stają się dziecinną igraszką wobec problematów ekonomicznych, wogóle socyalnych.

Wiek XX nie będzie bezwątpienia wiekiem pokoju, powrotem złotego wieku poetów; wojna, zmieniwszy formę, nie będzie przeto mniej gorącą i okrutną, owszem przeciwnie, będzie tylko cichą. W przyrodzie nieożywionej, gdy morze podmywa wybrzeża i zestrychowywa lądy, gdy osady rzeczne wypierają morze i tworzą nowy ląd, gdy roślina mniej odporna zostaje zduszona przez silniejszą, lepiej przystosowaną, gdy wiatry, deszcze i mrozy rozkruszają skały, gdy góry stają się równinami, a równiny górami itd. proces ten odbywa się bez wrzawy. Wszystko, co słabsze ulega zniszczeniu i życie naszej planety odbywa dalej swój bieg. Pośród ludów żaden nie uniknie walki rolniczej, przemysłowej i handlowej, która odbywać się będzie na całej powierzchni ziemi, a w walce tej nie pomoże ani wojna orężna, ani odosobnienie. Wszystko zależyć będzie od ce-

ny jakichś towarów fabrykowanych z większą ekonomią tutaj lub tam; od większego lub mniejszego udoskonalenia eksploatacyi pewnych skarbów naturalnych; od sposobów sprytniejszych, prostszych, szybszych; od klimatu wilgotniejszego lub suchszego; od jakiegoś nieprzewidzianego wypadku, który naruszy równowagę. Gdy w razie katastrofy środki zaradcze nie będą przedsięwzięte szybko i skutecznie, zguba nastąpi nieuniknienie. Zamiast od kul armatnich, naród zginie z głodu i nędzy. W chwili ważnej, w jakiej obecnie świat się znajduje, powiedzieć prawdę jest surowym obowiązkiem, skrywać ją — podłością, zbrodnią a wreszcie glupotą. Rzeczy są takiemi, jakiemi są.

Podczas gdy z jednej strony widzimy zjawisko generalizacyi międzynarodowej, zjawisko, że tak nazwiemy, umiędzynarodowienia wszelkiej działalności, to z drugiej, prawem pewnej reakcyi umysłowości starej przeciw nowej oraz prawem obawy instynktowej przed mającemi nastąpić wypadkami, spostrzegamy też zjawisko odwrotne: krańcowego partykularyzmu, który chciałby przerwać wszelkie stosunki między narodami, postawić między nimi nieprzebyte baryery. Objaw ten jednak musi być tylko przejściowym: narody odosobniające się muszą być prędzej czy później porwane w wir ogólny z tem większą szkodą dla siebie, im mniej będą doń przygotowane.

Z powyższego wynika, że obowiązkiem naszym jest przygotować młodą generacyę do tych zapasów ogólnych, pamiętając, że przyszłość należy nie do pięści najsilniejszych, lecz do dusz najhartowniejszych, do inteligencyi najzdolniejszych. Panowanie sprawiedliwości zbliża się, ale pamiętajmy, że jest to sprawiedliwość nieubłagana, jak rachunek matematyczny.

W tej walce wszystkich przeciw wszystkim, jednostki przeciw jednostkom, narodu przeciw narodom trzeba poznać przeciwników, ich siły i środki; do tego celu najlepiej służą podróże. Dla odniesienia należytych korzyści z podróży, podróżnik powinien niejako wyrzec się chwilowo swej osobistości i zżyć się ściśle z narodem odwiedzanym, patrzyć nań bez uprzedzeń i przesądów, albowiem wszelkie objawy życia danego narodu mają swą racyę bytu, wszystkie są ogniwami wielkiego łańcucha przyczyn i skutków, dla którego rozwikłania, trzeba wziąć do pomocy warunki geograficzne i historyczne, teraźniejszość i przeszłość.

Najwięcej korzyści przynoszą podróże odbywane w młodości, w wieku gdy nawyknienia nie są jeszcze zastarzałe, gdy jesteśmy jeszcze zdolni do ich modyfikowania, a z drugiej strony nasze władze umysłowe i uczuciowe są w pełni rozwoju. Zdolność do podróży ułatwia emigracyę i kolonizacyę; emigrant, który pod niebem dalekiem nie zrywa więzów serdecznych ze swym krajem rodzinnym, staje się dlań również użytecznym jak ten, co pozostał na miejscu. Emigracya tego rodzaju jest jedną z tajemnic potęgi angielskiej i niemieckiej.

W. N.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA FRANCUSKA.

M. Barrès, *Une journée parlamentaire*, Paryż, 1894. — Gustaw Larroumet, *Etudes de littérature et d'art*, 1893.

Barrès znajduje w sobie pokrewieństwo duchowe z malarzem radosnych apoteoz, rozkosznym i dekadenckim Tiepolo. Jest to jedna z najoryginalniejszych postaci naszego czasu i wywiera taki urok na współczesnych, iż każda jego stronica, gdy tylko się ukaże, wzbudza powszechną uwagę i jest swego rodzaju „evenémentem" literackim. Stanowiska tego młody autor dopiął raczej pozowaniem, niż czem inem. Jedynem zadaniem życia jest dlań uprawa — nie roli, przemysłu lub nauki — lecz swego „ja." Na wzór chemika, poddającego gaz pewnemu ciśnieniu, aby zauważyć, jakim on zmianom podlegać będzie, Barrès wprowadza swą Psyche w najrozmaitsze warunki, spostrzegając uważnie, co w niej zachodzi. Wozi ją z kraju do kraju, po wszystkich muzeach, salonach, alkówkach, do wód—w celach „psychoterapii" — nie gardzi nawet parlamentem i nizinami polityki, aby duszę swą wprowadzić w atmosferę intryg i czynu, bez wszelkich jednak ideałów i przekonań społecznych. O ile z pism jego sądzić można, po za sferami geszefciarstwa jest to nieograniczony indywidualista, nieprzyjaciel wszelkich reguł i praw. Ale ten „Ennemi des lois" umie z wyrachowania bardzo dobrze się godzić z istniejącym porządkiem, zwłaszcza ze względu na pieniądz. Uważa bowiem, iż jego arystokratyczna Psyche może się rozwijać tylko w cieplarni wielkiego zbytku. Istotnie, niema nic bardziej trywialnego, niż ubóstwo, i nic nie zostawia haniebniejszych śladów na duszy wybranej, niż praca dla chleba. Pozuje więc na wielkiego pana, który się zabłąkał do literatury i tem wszystkiem wywiera czar niepokojący. Ta psychologia, nielicząca się z żadną moralnością i dbająca tylko o elegancyę póz, przypomina orgie bogatych rzymian za czasów upadku, które są jakby ostatnimi uśmiechami konającego świata.

Naraz Barrès przyobiecał komedyę polityczną w stylu Arystofanesa — czego nikt po nim się nie spodziewał, gdyż sądzono, iż znając dokładnie własną swą duszę, ma o cudzych bardzo niejasne tylko pojęcie. Trzeba dodać, iż autor w poprzednim okresie prawodawczym był deputowanym i to od bulanżystów — co zakrawa potrochu na oparetkę, ale dało mu to możność poznania ludzi i świata. Gdy przy nowych wyborach przepadł, *Figaro* posyłał doń reportera, który miał go *interview*'ować względem „état d'âme," spowodowanego tą porażką. „Moje stany duchowe — powiada Barrès — są jedyną rzeczą, która mnie interesuje." Być może, iż w tym przekąsie jest wiele prawdy. Sądząc z komedyi, o której mowa, Barrès żadnych nowych otchłani w duszy ludzkiej nie odkrywa. Mamy tu cały szereg zwykłych oszustów parlamentarnych, najpospolitszego kalibru. Treść banalna, zaczerpnięta wprost z dziejów krachu panamskiego. Deputowany Thuringe, jeden z wodzów większości republikańskiej, sprzedał swój głos za sto tysięcy franków, gdyż „trzeba pieniędzy tym, co kierują stronnictwem." Dowody tej przedajności znajdują się w ręku Gautecharta, innego oszusta z Izby, z którym żona poprzednio się rozwiodła, aby wyjść za Thuringe'a. Opuszczony małżonek pała zemstą, a powyższe dowody pozwalają mu ją wywrzeć. Odfotografowawszy je, dał podobiznę do dziennika „Contrat social" z poleceniem wydrukowania. Redaktor tego pisma, Forestier, zgadza się nie drukować dokumentów na prośby Thuringe'a, ale pod warunkiem, iż ten dostarczy mu dowodów przedajności dwóch innych, jakichkolwiek zresztą deputowanych, gdyż pismo jego żyje ze skandalów i on zobowiązał się przed czytelnikami, iż dostarczy im ofiar. Thuringe po pewnych wahaniach odstępuje mu dwu swych kolegów i przyjaciół politycznych, Le Barbiera i Isidora. W ten sposób zażegnał burzę, ale nie na długo, gdyż Gautechart posyła swe dokumenty do innego pisma. Thuringe porusza najwyższe wpływy, aby powstrzymać swego okrutnego przeciwnika. Gautechart zgadza się cofnąć publikacyę, ale pod warunkiem, iż Thuringe „zniknie." Nieszczęśliwiec decyduje się na sromotną ucieczkę, ale naprożno chce skłonić swą żonę, która wierzy wciąż w jego uczciwość, do tego kroku. Ona wymaga, aby naprzód oczyścił się z ciążących na nim oskarżeń, które uważa za potwarz. Le Barbier i Isidor, nie wiedząc jeszcze o zdradzie przyjaciela, radzą mu jednak samobójstwo, gdyż liczą, iż w ten sposób sami będą mogli na sucho wybrnąć z błota. Thuringe uskutecznia tę radę w ich obecności, a oni tymczasem szperają po papierach, aby odszukać groźne dla nich dokumenty, o których istnieniu wiedzą.

Wogóle jest to raczej satyra na nikczemność natury ludzkiej, aniżeli satyra polityczna. Dodajmy także, iż autor w swym pesymizmie zbyt często zgęszcza barwy i przeciąga linie, czem zdobywa efekty karykaturalne; ostatnia np. scena, jakkolwiek w gruncie prawdziwa, wydaje się w wykonaniu przesadzoną. Forma dramatu jest nader poprawna, styl — gładki, ale nic więcej. Naprożno byśmy szukali tu pozłacanych pigułek ironii, pereł o zabójczych wyciągach w artystycznej oprawie. Znajdujemy tylko prostotę.

Dyrektor departamentu sztuk pięknych, Larroumet, wydał swe „Studya literackie" o XVIII i XIX st., w których obok wielu cennych i trafnych uwag znajdujemy teoryę — zdaniem naszem — chybioną, iż sztuka francuska w bieżącem stuleciu we wszystkich kierunkach, nawet w romantyzmie, była zupełnie oryginalna. Rozważmy tę sprawę na malarstwie. Historya malarstwa francuskiego w naszym wieku rozpoczyna się od Davida. Przed nim sztuka wyczerpywała się na mdłych konwencyonalizmach szkoły jeszcze wdzięcznej, ale oddawna pozbawionej ideału i zdolności spostrzegania, mianowicie szkoły Greuze'a i Chardina. Nowoprzybyły zrywa odrazu z ich uczuciowością literacką, pełną afektacyi, szuka natchnienia w starożytności, a w wykonaniu, zamiast maniery, jest naturalny, pełen siły i ścisły. W ciągu lat trzydziestu David panował nieograniczenie; jego tematy, rysunek i koloryt wydawały się jedynie możliwym wyrazem wielkości i piękna. On narzucił całemu pokoleniu swe pojmowanie plastyczne natury i życia. Zresztą nie on stworzył nowy kierunek, on go tylko wyzyskał. Dzieła Winckelmana, Caylusa, odkrycie Herkulanum i Pompei odwróciły smak publiczny od eleganckiej lekkości i skierowały go ku klasycyzmowi. David panował nieograniczenie podczas Rewolucyi i pierwszego cesarstwa. Talent jego był w pełni rozwoju, gdy naraz pojawiły się „Bitwa przy Eylau" i „Zadżumieni w Jassach" Grosa. David z pogardą traktował „tematy błahe." Gros na miejsce archaizmu postawił obserwacyę życia współczesnego, a na miejsce prostoty skulpturalnej — ugrupowanie naturalne mas. Żywy koloryt zamienił na barwy lżejsze.

Ten brak dyscypliny ze strony Grosa nie był przypadkiem, gdyż nawet we wspólnem naśladownictwie starożytności i Włoch, mistrzowstwo Davida nie powstrzymało niezależności oryginalnej i czarującej Proudhona. Ten uczeń Corregia i Leonarda da Vinci doprowadzony był przez miłość ciała nagiego i draperyi, a także przez troskliwość o styl, do starożytności zupełnie odmiennej. Oficyalny malarz Cesarstwa tłomaczył T. Liviusza w liniach płaskorzeźbowych, czuły i nieśmiały Prudhon marzył na ustroniu o boskiej elegancyi i naiwnej rozkoszy Anakreonta i Antologii. Jeszcze dalej, niż Gros, w kierunku niezależności, obserwacyi życia, zamiłowania ruchu i energii posunął się Géricault. Był to zresztą zwrot naturalny. W atmosferze sławy, którą oddychała Francya ówczesna, sztuka, zajmują-

ca się odtworzeniem starożytności i traktująca historyę współczesną tylko w formie alegoryj klasycznych, stała się niemożliwą. Zresztą sam David zdawał sobie z tego bardzo dobrze sprawę. W r. 1808 mówił on: „Za lat dziesięć klasycyzm zostanie zupełnie opuszczony. Wszyscy ci bogowie i bohaterzy będą zastąpieni przez rycerzy i trubadurów, śpiewających pod oknami swych dam, u stóp starożytnych zamków.“ Istotnie, w r. 1819 Géricault wystawił „Rozbicie Meduzy,“ skąd wyszedł cały romantyzm plastyczny, i z jaką siłą, z jaką potęgą! W r. 1822 Delacroix wystawia „Dantego i Wirgiliusza.“ Starożytność traci tu zupełnie swój charakter klasyczny, zapożycza natomiast od wieków średnich tajemniczości i fantastyczności. W „Śmierci Sardanapala“ występuje Wschód, w „Rzezi“ — życie współczesne. Ale nietylko tematy się zmieniły. U Davida duszą obrazu była kompozycya obmyślana i skrupulatny rysunek. U Delacroix na pierwszy plan występuje swawolne natchnienie i polot wyobraźni; w wykonaniu ścisłość obserwacyi i rysunku ustępują miejsca przed gwałtownemi pozami i energią kolorytu. Wszyscy wybitniejsi artyści stanęli odrazu pod sztandarem romantyzmu, lecz nie oni wywołali ten ruch, oni raczej dali się unieść prądowi, który przeniknął we wszystkie dziedziny życia społecznego bez wyjątku: zarówno w sztuce, jak i w polityce wymagano więcej swobody, niezależności od prawideł i szkół. „Aby być artystą — mawiał Delacroix — trzeba przedewszystkiem zdać się na swą oryginalność i czekać natchnienia, które pochodzi ze wzruszeń szczerych i osobistych i wyraża się w miarę tych wzruszeń.“ Powodzenie było zupełnie po stronie romantyków, jakkolwiek nie przestawał ich zwalczać genialny zwolennik zasad Davida, Ingres, całkowicie pogrążony w studyach nad starożytnością i Odrodzeniem. W rysunku widział „trzy i pół ćwierci tego, co stanowi malarstwo,“ podporządkowując mu w zupełności koloryt, który nazywał pogardliwie „barwą.“ Energię dramatyczną i ruch uważał za dziką gwałtowność i nieporządek. Zamiast wzruszeń i fantazyi, Ingres liczył tylko na dobrze obmyślany plan i metodę. Za usprawiedliwienie tych teoryj służą arcydzieła, które tworzył — dowód, iż doktryny wyłączne nie mają racyi bytu w sztuce, gdzie każdy kierunek jest dobry, byleby był piękny — ale pomimo to Ingres pozostał zupełnie osamotniony i na rozwój malarstwa francuskiego bynajmniej nie wpłynął.

Delaroche czynił próby pogodzenia kierunków wrogich, łącząc potęgę uczucia z czystością rysunku, lecz powoli szkoła francuska opuszcza i romantyzm i klasycyzm. Znużenie opanowało wszystkich nietylko względem bóstw i bohaterów starożytnych, ale także względem rycerzy, trubadurów, krajobrazów wschodnich i krwawych scen historycznych. W życiu społecznem nastąpiło panowanie zadowolonej z chwili obecnej burżuazyi, w nauce — pozytywizmu, zajętego zbieraniem faktów realnych. Wszystko to odbiło się na sztuce.

Corot, Rousseau, Dupré szukali w naturze i w stosunkach istniejących tematów i wrażeń.

Kwestye o znaczeniu stosunkowem rysunku i kolorytu, gorączki dramatycznej lub spokoju tragicznego — mało ich interesują. Oni szukają tylko prawdy, szczerości, co najwyżej chcieli uchwycić duszę, która się unosi nad wodami i lasami. Tę duszę natury przenosili na swe płótna, otworzywszy w ten sposób nowe źródła wzruszeń. Krajobraz jest właściwie stanem ducha. Pośród przyrody, w ten sposób spostrzeganej, inni, jak Millet, zaczęli pomieszczać chłopa w całej wielkości jego nieświadomych wysiłków, lub, jak Trayon, zwierzęta wiejskie, tak długo pogardzane lub fałszowane przez wyszukanie stylu. W ten sposób zaświadczył o sobie demokratyczny kierunek naszego wieku nawet w malarstwie. Courbet był ojcem naturalizmu energicznego i brutalnego. Ale i ten kierunek, zarówno w malarstwie, jak i w literaturze się wyczerpał. Rozwielmożnia się natomiast eklektyzm, zapożyczający od wszystkich kierunków w równym stopniu. Baudry, Cabanel, Delaunay i ich uczniowie wracają do upodobań klasycznych, lecz u nich piękno starożytne łączy się z gracyą czysto paryską, z elegancyą i pojmowaniem życia współczesnem. Ale nikt nie posunął eklektyzmu tak daleko, jak Meissonier, u którego mamy motywy historyczne i uważne spostrzeżenia natury, staranność skrupulatną rysunku i wyrazistość kolorytu, duch bohaterski i zarazem chłodną rozwagę, słowem, wady i zalety wszystkich szkół poprzednich, klasyków, romantyków i naturalistów, razem wziętych. Najmłodsze nareszcie pokolenie lubuje się w tematach dekadenckich i impresyonicznych, w wyszukaniu świateł delikatnych i kolorytów niezwykłych.

Widzimy więc, iż malarstwo francuskie przechodziło w swym rozwoju zupełnie też same fazy, co i literatura. Nie ma w tem nic dziwnego. Społeczeństwo można uważać za wielką retortę psychologiczną, w której wytwarzają się stany ducha realne lub romantyczne zupełnie z taką samą koniecznością, jak z kotłów fabrycznych wychodzi cukier lub ocet. Warunki społeczne wytwarzają pewien nastrój duchowy i on następnie wyraża się w poezyi, malarstwie lub muzyce, bez różnicy. Klasycyzm jest pochodzenia czysto francuskiego: gruntem, na którym on się rozwinął, był dwór Ludwika XIV, francuskim jest także z pochodzenia naturalizm lub dekadentyzm, gdyż Francya najwcześniej przedstawiała warunki, potrzebne dla rozwoju tych kierunków. Nie możemy wszakże się zgodzić z Larroumetem, gdy on, z powodów patryotycznych, przypisuje i romantyzm wyłącznie swej ojczyźnie, szukając jego początków nietylko u Rousseau, ale u Bossueta! Że taki Rousseau wywarł na romantyzm wpływ pierwszorzędny, to jest rzeczą niewątpliwą. Ale właściwem siedliskiem i kolebką kierunku były Niemcy. Romantyzm był skutkiem chybionych polotów epoki, znanej pod nazwą „Sturm und Drang-Periode.“ Protestowano przeciw uciskowi i krzywdom społecznym, po części w imieniu dzieł Rousseau. Ale urzeczywistnić tych protestów nie sposób było. Wówczas całe pokolenie uciekło od rzeczywistości: Goethe i Schiller — do klasycyzmu, Schleglowie, Tieck, Novalis i inni romantycy — w średnie wieki, na Wschód, do świata fikcyi — Hoffmann schronił się do ustroni fantastycznych, J. Paul zamknął się w ironii sentymentalnej, a Klinger w zadowolonej pogardzie. „N'importe où, pourvu que hors du monde“ — wszystko jedno dokąd, byleby uciec od rzeczywistości świata: taki był los tego pokolenia. We Francyi W. Rewolucya rozstrzygnęła poniekąd sprzeczność między ideałami a rzeczywistością i uciekać od niej nie było potrzeby. To też romantyzm nie mógł powstać i nie powstał we Francyi.

L. W.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

WIĄZANKA KRAKOWSKA.

Budżet oświaty galicyjskiej. — Farmaceuci. — Głód. — Nowe stopnie naukowe.

Z przedstawionego Radzie państwa budżetu na rok 1894 zajmujące są dla nas nadewszystko cyfry, dotyczące wydatków na oświatę galicyjską. Wspominaliśmy już na tem miejscu nieraz o fakcie powszechnie zresztą znanym, tj. o iście pasierbim stosunku Galicyi do kokietującego z nią, źle udaną, niby ojcowską miłością, skarbu państwa. Zapewniano uroczyście, że przykre rozdźwięki tego stosunku niebawem usunięte zostaną, że o życzliwych uczuciach przekona nas najbliższa przyszłość... Budżet przedstawiono — i oto z cyfr wnioskować proszę, o ileśmy w prawach naszych w górę poszli.

W r. 1893 skarb państwa wydał na oświatę galicyjską 2,482,012 złr.; na rok 1894 oznaczono 2,669,875 złr., czyli o 187.862 złr. więcej. Wydatek ten stanowi niespełna 16% sumy 16,719,903 złr., łożonej na cele oświaty w całem państwie, co, pominąwszy nawet krzywdy, czynione szkolnictwu galicyjskiemu przez tyle dziesiątków lat, nie odpowiada bynajmniej stosunkowi jej ludności do ludności Austryi wogóle. Z poszczególnych rubryk okazuje się, że t. zw. wydatki „centralne“ wzrosły o 9,200 złr. z powodu zamierzonego pomnożenia inspektorów krajowych i podwyższenia płacy kilkunastu inspektorom powiatowym. Wydatek na uniwersytet lwowski wzrósł o 11,200 złr., z czego 4 tysiące przeznaczone zostają na płacę profesora, asystenta i dwóch sług (!) dla katedry anatomii, przy otworzyć się mającym 1 kwietnia 1894 r. wydziale lekarskim, a 2,000 na pierwszą ratę, potrzebną do założenia i urządzenia muzeum anatomicznego. Wydatki zwyczajne na uniwersytet krakowski podwyższono o 9.200 złr., nadzwyczajne zaś o 59,000 złr. Olbrzymią tę na pozór cyfrę zawdzięczamy przypadającej w roku obecnym dużej racie na budowę instytutu patologiczno-anatomicznego. Wydatki na szkoły średnie wynoszą o 62.000 więcej, aniżeli w roku ubiegłym, na szkolnictwo ludowe zwyżka dosięga tylko 20,000 złr. Dodać musimy, że zwyżka ta obejmuje w dodatku zasiłki dla dwóch szkół wojskowych w Przemyślu i w Jarosławiu; cóż więc znaczy wobec znanego stanu zaniedbania, w jakim się instytucye te znajdują.

W r. 1889 wyznaczono na szkolnictwo przemysłowe 75,990 złr. Jeżeli czytamy dzisiaj, że budżet na ten sam cel przeznacza obecnie 180,800 złr., to powinnibyśmy chyba mieć wszelkie dane do zupełnego zadowolenia. Tymczasem co mówią cyfry? Galicya zajmuje 26,16% obszaru, a mieści 26,91% ludności monarchii; na szkolnictwo przemysłowe Austryi przeznaczono 2,325,416 złr., czyli że owa kwota 180,800 złr. stanowi 7,8% wydatku ogólnego, czyli dalej, że nie pozostaje w żadnym stosunku do istotnych potrzeb kraju. Dość zresztą porównać budżet galicyjski z budżetami innych krajów koronnych, aby wiedzieć, jak szczerze zajmują się nami w Wiedniu. *Wyższe* szkoły przemysłowe kosztują: w Wiedniu—325,000 złr., w Czechach—369,700; w malutkiej Morawii — 115,462; w całej zaś Galicyi *87.900* złr. Szkół *fachowych*, utrzymywanych przez państwo jest: w Tyrolu — 11, w Czechach — 38, w Morawii — 11, w Galicyi — 3... Porównawczych cyfr takich przytoczyć byśmy jeszcze mogli wiele. Ale bo jakież możemy mieć wymagania, skoro podatków płacimy tak mało? Możeby więc panów, rozumujących w ten sposób przy zielonych stolikach, skusić do szczerego zaopiekowania się przemysłem naszym obietnicą hojnego wypłacania się za przysługę. Prawdą jest, że Galicya mniejsze od Czech płaci podatki, ale nie na żarty też nazywa się Głodomoryą i kto wie, czy przy dalszem stosowaniu dotychczasowej polityki nazwy tej pozbyć się zdoła...

Do najopłakańszych stosunków w Galicyi należy beznadziejne najczęściej szamotanie się magistrów farmacyi, którzy w braku środków na zakupienie aptek, według ustawy właściwie—koncesyjnych,

skazani są na dożywotnie pozostawanie w służbie przy nadmiernej pracy i nędznem wynagrodzeniu. W prośbie, którą wreszcie teraz do Rady państwa wnieśli, domagają się: 1) aby na każde 4 tysiące mieszkańców utworzoną została jedna apteka; 2) aby apteki koncesyjne były bezwarunkowo nadawane najstarszym kandydatom na podstawie ściśle prowadzonych ksiąg ewidencyjnych; 3) aby po śmierci aptekarza konkurs na koncesyę stanowczo bywał rozpisywany; 4) aby prawnie zabroniono sprzedaży aptek i przenoszenia koncesyi na osoby trzecie bez poprzednio ogłoszonego konkursu, 5) aby wydzierżawianie koncesyj aptekarskich zostało wzbronione; 6) aby państwo wykupiło t. zw. apteki dziedziczne i obsadzało je na przyszłość drogą konkursu; 7) aby dla uchronienia chorych od pomyłek, a aptekarzy — od wielkiej odpowiedzialności, ustanowiono ośmiogodzinny dzień pracy; 8) aby pracę niedzielną zredukowano do czterech godzin; 9) aby zaprowadzono przymusowe ubezpieczenie farmaceutów na wypadek choroby i na starość z uwzględnieniem faktów, że żaden w pracy 50 roku życia nie dosięga. Nie ulega wątpliwości, że żądania te są aż nazbyt słuszne, że 12-to a często i 24-godzinna praca aptekarska, haniebnie przez pryncypałów wyzyskiwana, surowo wzbronioną być powinna, że wreszcie stosunki te szybkiej i radykalnej domagają się zmiany.

Nędza, nędza i nędza! Straszne jej widmo przesuwa się tu z zaułka w zaułek, z miast ucieka pod strzechy, pozostawiając za sobą coraz nowe ofiary. W niektórych okolicach ludzie nietylko że nie mają na zasiewy, ale literalnie mrą z głodu. W powiecie liskim np., we wsiach Wołosata, Caryńskie i Dwernik wybuchł tyfus głodowy, w powiecie turczańskim, w Dydiowie przeszło stu włościan okrążyło dom parafialny, prosząc o zasiłek. „Jegomość, dajcie nam radę, piszcie gdzie w świat za chlebem, bo nam życia niema; w żaden sposób nie przetrwamy przednówku w tym roku. Od Bożego Narodzenia kupujemy już chleb i płacimy po 12—14 złr. za metr (cetnar metryczny) lichej mąki w Lutowiskach. Zdzierają nas okrutnie, ale toby jeszcze były bajki, byle tylko chcieli borgować. Lecz borgować nie chcą, a tu o centa trudno, w żaden sposób zarobić go nie można. Gdzie są fabryki, tam jeszcze sobie ludzie jakoś dają radę, ale gdzie niema, tam chyba ginąć wypada. Między ludem taka trwoga, jak podczas cholery.“ Zdaje się, że jest to dokument dość wymowny. Podobno zwrócono się do Namiestnika z prośbą o jaknajrychlejsze udzielenie zapomogi głodnym.

Historya kontraktu dzierżawy teatru miejskiego wstąpiła w nową fazę. Dotychczas dyrektor Pawlikowski nalegał na podpisanie umowy, Rada miejska zaś — prawdopodobnie dla braku czasu — ociągała się z dopełnieniem tej formalności. Obecnie Rada nagli – a dyrektor się ociąga. W dzień, na podpisanie kontraktu przeznaczony, p. Pawlikowski nie przybył, tłomacząc się przeszkodą natury prywatnej, w gruncie zaś rzeczy pod wymówką tą kryje się niechęć do podpisania dokumentu, zanim pretensye jego, płynące ze spóźnionego otwarcia teatru, pokryte nie zostaną *).

Docent fizyki przy tutejszym uniwersytecie, dr. Władysław Natanson, otrzymał tytuł nadzwyczajnego profesora. Były asystent prof. Cybulskiego, młody a bardzo zdolny uczony, dr. Adolf Beck, habilitował się w tych dniach na docenta fizyologii.

*) Gdy mu zagrożono zerwaniem stosunku — podpisał. *Red.*

Ferropar.

TARYFY PASAŻERSKIE.

Przed kilku tygodniami w osobnym artykule („Wstęp do reformy“) z czynności przygotowawczych wróżyliśmy pomyślny i szybki obrót sprawie przekształcenia taryf pasażerskich na kolejach żelaznych. Przewidywania nasze sprawdzają się, bo oto mamy garść faktów, świadczących o postępie działań w tej mierze. Specyalna komisya pod przewodnictwem dyrektora departamentu kolejowego, p. Maksimowa, dn. 19 marca przystąpiła do niezmiernie ważnej części przedmiotu — opracowania planu zniżek dla trzeciej klasy. Nie obarczając czytelnika wielkiem nagromadzeniem cyfr, dodamy tylko, że klasa trzecia, wedle danych statystycznych, przewozi największą liczbę podróżnych i największy dochód daje. Otóż komisya uznała, że obowiązująca taryfa powinna być znacznie zniżona. „Zniżkę tę — pisze *Praw. Wiest.* — należy zastosować z całą oględnością, aby koleje i skarb nie poniosły zbytnich strat, bez widocznej korzyści dla ogółu. Pogodzenie tych interesów da się osiągnąć nie inaczej, jak za pomocą sprawdzania taryfy, która wraz ze wzrastaniem odległości, dawałaby odpowiednio malejące stawki, z tym oczywiście warunkiem, aby absolutne sumy wartości biletów na dalsze przestrzenie nie były mniejsze od ceny biletów na krótszych przestrzeniach. Pod tym względem najdogodniejszą byłaby taryfa różniczkowa, na której zasadzie do określonej opłaty za pewną ilość wiorst dodaje się stała stawka w granicach danej odległości. Zmniejszenie opłaty na krótkich przestrzeniach jest prawie niedostrzegalne (oprócz komunikacyi podmiejskiej tudzież w sezonie letnich mieszkań, co podlegać będzie oddzielnemu roztrząsaniu); na wielkich zaś przestrzeniach jest ono niezbędne, zarówno dla uprzystępnienia komunikacyi, jak i ożywienia ruchu.“

Pod krótkiemi przestrzeniami należy rozumieć przejazdy w granicach do 150 wiorst; od 201—300 daje się bowiem spostrzegać wyraźne zmniejszenie ruchu pasażerskiego. Tak np. r. 1891 z 30,2 mil. pasażerów przebyło przestrzeń do 50 wiorst 16,3 mil.; od 50—100 w. 6,7 mil.; od 100—200 w. 4,2 mil.; od 200 — 300 w. 1,3 mil. Na dalszych czterech kategoryach liczba podróżnych wyraża się zaledwie w setkach, dziesiątkach, a nawet jednościach tysięcy. Z tych danych okazuje się, że na korzyść rozwoju ruchu pasażerskiego należy zniżkę rozpocząć od 100—200 wiorst. Dochód, obliczany w oddzielnych kategoryach odległości do 300 wiorst wynosi z biletów III kl. około 69% ogólnej sumy 34 milionow rubli. W tych więc granicach znaczna zniżka nie powinna być stosowana.

Po rozważeniu wybitnych danych, na naradach komisyi przedstawiono następujący szemat taryfy dla III kl. Do 160 w. opłata oblicza się według istniejącej stawki $1^1/_4$ kop. z 15% podatku państwowego, dająca w sumie stawkę za wiorstę 1,4375 kop. Dla obliczenia wartości biletu za odległość w granicach 160—300 wiorst, dodaje się do opłaty w ilości 2 rs. 30 kop. po 0,8 kop. za każdą wiorstę ponad 160 w.; dalej do opłaty za 300 wiorst dodaje się po 0,7 kop., następnie od 500—700 w. po 0,6 kop. od 700—1000 w. po 0,5 kop., od 1000—1500 w. po 0,4 kop. i od 1500 w. po 0,3 kop. za każdą dalszą wiorstę. Sumy z tąd otrzymane obejmują już podatek państwowy. Jaśniej rzecz przedstawi następująca tabliczka porównawcza:

Odległość w wiorstach	Według projektu	Ceny dawne
160	rs. 2 k. 30	rs. 2 k. 30
300	„ 3 „ 42	„ 4 „ 32
500	„ 4 „ 82	„ 7 „ 19
600	rs. 5 k. 42	rs. 8 k. 63
700	„ 6 „ 02	„ 9 „ 07
1000	„ 7 „ 52	„ 14 „ 38
1500	„ 9 „ 62	„ 21 „ 56
2000	„ 11 „ 12	„ 28 „ 75

Tak więc na długość tysiąca wiorst zniżka stanowi 47%, na przestrzeni 1500 w. 55%, na 2000 w. 61%. Projektowana cena biletów II kl. równa się przy odległości 600 wiorst dzisiejszej cenie III-ej kl., czyli że pasażer całą tę przestrzeń za obecną cenę biletu III kl., może przejechać w wagonie II kl. Tak samo przy odległości 300 wiorst cena biletu I kl. równać się ma dzisiejszej cenie II kl. Wogóle taryfa pasażerska II kl. wyższa będzie od III półtora raza, II-ej zaś kl. o 2½ raza. Podatek skarbowy wynosić ma dla I-ej kl. 25%, dla II i III — 15%.

Według przybliżonych obliczeń, koleje po wprowadzeniu proponowanej zniżki w pierwszej chwili poniosą straty 7—8 milionów rubli. Naturalnie stratą nazwać tego nie można, skoro w krótkim czasie potem wzmożony ruch pasażerski przyniesie podwójne zyski. Nie wszyscy atoli reprezentanci przedsiębiorstw komunikacyjnych są przychylni reformie; nie sięgają oni w dalszą przyszłość i dla tego, o ile mogą, bronią obecnych norm, nie zaznaczając wyraźnie niechęci. Tak np. przedstawiciel kolei Wiedeńskiej proponował zniżkę dopiero od 300 wiorst, czyli chciał w ten sposób wycofać z pod reformy linię reprezentowaną, gdyż akurat taką ona długość obejmuje. Inny znowu przedstawiciel dłuższej linii żądał zmniejszenia taryfy dopiero od 600 wiorst. Na szczęście głosy te, nielogiczne i pojedyńcze, a przedewszystkiem samolubne, nie znalazły uznania, wobec nagromadzonego i ugrupowanego materyału, który pozwala nie na oślep wprowadzać reformę, pożądaną dla wszystkich mieszkańców państwa, przedsiębiorstw kolejowych i w ogóle całego przemysłu i handlu, a zatem i dobrobytu powszechnego, który musi opierać swe powodzenie, postęp i siłę na ułatwionej komunikacyi. Dziś już ludność oczekuje tych ulg z gorączką, a po ich wprowadzeniu nie długo zapewne będziemy czekać na dodatnie rezultaty. Samo atoli zastosowanie zniżonych taryf w praktyce nie będzie rzeczą zbyt łatwą, tembardziej, że pociągnie za sobą wiele zasadniczych zmian w gospodarce kolejowej.

Drogomir.

PAMIĘTNIK.

Mnożnik i taksa.

Jak wiadomo czytelnikom, p. minister finansów zezwolił na usunięcie z ustawy Towarzystwa kredytowego ziemskiego dotychczasowej zasady obliczania pożyczek (80 razy wzięty podatek gruntowy jako najwyższa granica) i na zastąpienie owego mnożnika taksą. *Słowo*, rozbierając przyczyny i skutki tej zmiany, uznaje bezwzględną jej słuszność i korzyść. „Mnożnik jako kontroler nieścisły, chwiejny i przekupny, a w wypadkach, gdzieby właśnie był potrzebny, zgoła do niczego nieprzydatny, był wielką uciążliwością dla stowarzyszonych.“ Z jednej bowiem strony właściciele majątków kredytowo niepewnych dobrowolnie podnosili podatek gruntowy dla otrzymania wyższych pożyczek, z drugiej — zupełnie odpowiedzialni skazani byli na użytkowanie z kredytu tylko w granicach mnożnika. Wszystko to jest prawdą, prawdopodobną wydaje się również nadzieja, że ci ostatni nie wystą-

pią tłumnie o podwyższenie pożyczek i nie osłabią ufności do Listów zastawnych; zdaje nam się wszakże, iż w tej sprawie nie należy zbyt wielkiej wagi przywiązywać do tej lub innej formy i zasady w obliczaniu szacunku dóbr, lecz trzeba położyć nacisk na rękojmię moralną ludzi, powołanych do tej czynności. Jeżeli ludzie ci będą sumienni, rzetelni, o dobro instytucyi dbali, jeżeli nie dadzą się sprowadzić z drogi obowiązku ani pięknem słowem, ani czułą prośbą, ani rzewną skargą, ani gościnnem przyjęciem, wtedy istotnie oznaczanie rozmiarów bezpiecznego kredytu, pozbawione hamulca mnożnikowego, może być sprawiedliwem i dla stowarzyszonych korzystnem. W przeciwnym razie... Ale po co mamy robić złe przypuszczenia bez faktów. Wolimy natomiast zaznaczyć, że jeżeli dotychczas do piastowania godności radcowskich w Towarzystwie należało wybierać ludzi rozumnych i uczciwych, to obecnie, gdy oni bez żadnej kontroli mają określać pożyczki, potrzeba ta stała się koniecznością. Wtedy i tylko wtedy będzie można nie lękać się o kurs Listów zastawnych.

Zepsuta poezya.

Od lat kilku zaczęto nam niemiłosiernie rozdzierać złudzenia, które przez długi czas były poezyą życia wielkomiejskiego. No, bo cóż może być poezyą śród szaro - żółtych murów i poodzieranych z kory kasztanów, gdzie ze wszystkich niezliczonych zmian w naturze zaznaczają się tylko ruchy termometru? Usiąść na kilkogodzinną gapiówkę w eleganckiej cukierni lub objeść się i opić w przedniej restauracyi. Używaliśmy też owych rozkoszy z dziada pradziada—i było nam dobrze. Wierzyliśmy, że tu ciastka, tam kwiczoły lub majonezy z ryb są nietylko wyśmienite, ale przyrządzone według wszelkich reguł zbytkownej czystości. Nagle śród władz, czuwających nad zdrowiem publicznem, objawił się duch sceptycyzmu, który naprzód podał w wątpliwość tę naszą tradycyjną wiarę, a następnie zaczął ją sprawdzać. Strach pomyśleć, co si okazało! Pieńki do rąbania mięsa w kuchniach pierwszorzędnych restauracyj nigdy nie myte a naczynia pokostowane grubą warstwą brudu, na ciastach cukierniczych chłopcy kładli swoje sienniki, w najsławniejszych warsztatach rzeźniczych śmiecie zmieszano z mięsem serdelków itd. Słowem, cała nasza poezya gastronomiczna prysła jak bańka mydlana. Dawniej szczęśliwiec, który posiadał kilka lub kilkanaście rubli, szedł sobie sam lub z kimś do wytwornej restauracyi i pieścił podniebienie przysmakami z tem przekonaniem, że spożywa coś idealnie czystego. Teraz kawałek rostbeafu staje mu kołkiem w gardle wobec pamięci o protokóle policyjnym, opisującym pieniek, na którym ten rostbeaf został porąbany. A pączki, a ciasteczka, a serdelki i kiełbaski! Wszystko to straciło urok.

Widocznie o tym duchu sceptycznym nie słyszeli handlarze ryb, którzy przywieźli z Carycyna do Warszawy cały wagon zepsutych i chcieli je wpakować w nasze żołądki. Figiel jednak w porę odkryto, a zgniłym materyałem do tworzenia przysmaków nielitościwie nakarmiono ziemię, która wszystko strawi.

Wogóle przyznać trzeba, że od pewnego czasu mamy mniej złudzeń gastronomicznych, ale za to więcej bezpieczeństwa. Składy z fałszowaną herbatą i targi z produktami spożywczymi, gdzie codzień niszczone są cetnary masła, mleka, mięsa, ryb itd., mogłyby nam opowiedzieć długą i ciekawą historyę o minionych dniach Aranjuezu — trucicieli.

Bagatela — nie bagatela.

Ostatnie zebranie członków Towarzystwa ogrodniczego było o tyle ciekawe, że jeszcze wyraźniej wskazało kierunek, w którym ta instytucya dąży. Mianowicie p. W. Kronenberg przedstawił plan urządzenia Bagateli. Posiadłość ta obejmuje 59,526 łokci kw., z których jedna część przeznaczona będzie na ogród spacerowy dla publiczności, druga dla członków Towarzystwa, a trzecia, zawierająca 11,036 łokci kw. (prosimy uważnie tę cyfrę przeczytać), ma stanowić „ogrób doświadczalny.“ To można mówić i z tego mogą się cieszyć dzieci, gdyż na 11,086 łokciach żadne poważne doświadczenia ogrodnicze przeprowadzić się nie dadzą. A jeśli niektóre pisma obiecywały nam na tej przestrzeni i szkółki, i hodowlę nowych odmian itd., to świadczy, że Towarzystwo ogrodnicze jest u nas mniej potrzebne jako organizacya umysłów specyalnie oświeconych, niż jako rozsadnik najelementarniejszych wiadomości. Według nas, sądząc na podstawie planu p. Kronenberga, Bagatela może być tylko miejscem spaceru i zabawy, a także w skromnej mierze służyć do hodowli roślin klombowych i cieplarnianych, o żadnym zaś w niej ogrodzie doświadczalnym (któryby przeprowadzał kulturę drzew owocowych, warzyw itd.) nie może być mowy.

My lubimy się bawić, więc i siedlisko Towarzystwa ogrodniczego musi się nagiąć do tego gustu. Ale jakim kosztem! Na urządzenie gloriet, skał sztucznych, dywanów kwiatowych, wreszcie halli ze szkła i żelaza, potrzeba, jak obliczono, 60,000 rs. Bagatela ta Bagatela! Skąd Towarzystwo zdobędzie tę sumę — nie wiemy, ale zapewnie ją zbierze, skoro — jak zapewnia jeden z dzienników — plan ten „zyskał wielką popularność.“

Z całej tej wrzawy, tych nieskończonych gadanin, Bagatel, hal, gloriet itp. dla nas wysnuwa się jeden wniosek: mianowicie, ludzie istotnie dbali o podniesienie ogrodnictwa w kraju i znający się na rzeczy, powinni założyć Towarzystwo ogrodnicze, któreby rzeczywiście zajęło się praktycznemi sprawami tej gałęzi przemysłu u nas i prowadziło zastosowaną do warunków miejscowych hodowlę oraz służące jej doświadczenia naukowe. Takie Towarzystwo wymagałoby również odpowiedniego organu, któryby pouczał czytelników, jakie powinniśmy szczepić gruszki, jabłka, wiśnie, śliwki, grochy, kapusty, kartofle itd. To nam jest potrzebniejsze, niż glorietty i sztuczne skały, urządzane dla uciechy samych warszawiaków.

Powód do życiorysów.

Powróciwszy do Warszawy po tygodniowej nieobecności i przeglądając zaległe numery pism, spotkałem we wszystkich życiorysy słynnego okulisty paryskiego, dr. Gałęzowskiego. Umarł — pomyślałem sobie — szkoda tak dzielnego lekarza. Dziwiło mnie wszakże, że w żadnym z dzienników nie mogłem znaleźć wzmianki o jego pogrzebie.

— Czy Gałęzowski umarł? — pytam jednego ze znajomych.

— Nie.

— A więc obchodzi jakiś jubileusz?

— Obchodził już przed paru laty.

— Skądże pismom przyszła nagle myśl zamieszczenia jego życiorysów?

— Jedzie do Teheranu.

— Po co?

— Wezwany został do syna szacha perskiego.

— To już wszystko?

— Dostanie 50,000 rs.

— Cóż dalej?

— Nic. Czegóż pan chcesz więcej?

— Więc dlatego, że dr. Gałęzowski jedzie do Teheranu, do syna szacha, za co otrzyma 50,000 rs., opisano jego życie i działalność naukową?

— Widzę, że pan nigdy nie zrozumiesz „aktualności,“ która jest głównym prądem dla wszelkich statków dziennikarskich. Już nie podróż do Teheranu, która jest faktem ważnym, ale jeżeli znakomitemu człowiekowi: urodzą się trojaczki, zazdrosna żona obleje twarz kwasem siarczanym, akademia udzieli wysoką nagrodę, złośliwy pies odgryzie palec itd., wszystko to w pismach, trzymających rękę na pulsie chwili, powinno natychmiast wywoływać życiorysy bohatera. Zważ pan, że przy najzwyklejszem poznajamianiu z sobą ludzi w salonie mówimy: doktór Witek lub pan Dewastacki radca Towarzystwa kredytowego ziemskiego, tem szczegółowszą musi być ta rekomendacya, gdy kogoś wyprowadzamy na widok publiczny. A więc ponieważ dr. Gałęzowski jedzie do Teheranu, więc opowiadamy, kiedy się urodził, co napisał itd.

— A jeżeli za pół roku słynny okulista wezwany zostanie do Pekinu?

— Podamy jego życiorysy.

— Patrz pan, to takie proste, a mnie się zdawało, że niedorzeczne... *P.*

Wychowanie.

Ile razy dowodziliśmy, że tylko wychowanie w zakładach publicznych, właściwie urządzonych, może zapewnić dzieciom wszystkie dobrodziejstwa rozumnych i troskliwych wpływów, zawsze słyszeliśmy gniewne pomruki. A tymczasem życie ciągle przekonywa wymownymi dowodami, że pedagogika domowa najczęściej bywa albo niedołężną, albo nierozumną, albo okropną. A jak okropną, świadczy niedawno w Kaliszu rozstrzygnięty proces, który według *Warsz. Dziennika* tak się przedstawia:

W końcu r. 1891 siedmioletni Kazimierz Woźniak, straciwszy rodziców, wzięty został na wychowanie przez babkę Katarzynę Woźniak. Z początku ona i ciotka sieroty obchodziły się z nim znośnie, powoli wszakże zaczęły go bez powodu głodzić i bić: postronkami, kijami, butami itp. Operacye te odbywały się codzień a nieraz trwały po kwadransie. Biły kolejno obie kobiety, a gdy krzyki katowanego oburzały sąsiadów, syn babki mawiał do niej: „Za tego chłopca dostaniecie się jeszcze do kryminału. Już lepiej raz go zabić, niż tak męczyć.“ Zbity malec musiał nadto po trzy godziny trzymać miotłę w podniesionych rękach; ażeby zaś nie krzyczał, zatykano mu usta chustką. Sypiał na gołej glinianej podłodze przy samem wejściu. Z głodu zbierał i jadł wszelkie odpadki, których — według wyrażenia jednego świadka — „nie tknąłby żaden pies.“ Zwolna chłopiec zamienił się na „relikwię,“ wyglądał jak kościotrup. Kiedy sąsiedzi ujmowali się za nim, babka odpierała: „On nasz, jeśli go zabijemy, to my będziemy odpowiadali — a wam nic do tego.“ Po jednej z takich strasznych tortur biedne dziecko zmarło.

Winne zostały ukarane. Ale ileż z nich dopuszcza się tych zbrodni bezkarnie! Ileż dzieci i nie tylko sierot cierpi najokrutniejsze znęcanie się ze strony zwierzęcych rodziców! Te katusze dokonywane są tem swobodniej, że w społeczeństwie utrwalona jest wiara w nieograniczoną władzę starszych członków rodziny nad dziećmi, a natomiast brak poczucia zgrozy przeciw tyranii domowej. Zwłaszcza lud prosty ani przypuszcza, ażeby ona w jakimkolwiek stopniu i postaci była złą i ażeby podlegała ograniczeniom prawnym. Wobec tego czyż K. Woźniak i tysiące im podobnych nie zyskaliby na wychowaniu w zakładach publicznych, chociażby w domu podrzutków?

Stanisław Kronenberg.

Dla społeczeństwa, dla pracy publicznej, dla wielkich przedsięwzięć, których był kierownikiem, umarł przed 8 laty, kiedy nieuleczalna choroba owinęła mrokiem jego umysł; ciało jego wszakże dopiero teraz oddane zostało ziemi. Nieboszczyk odziedziczył po ojcu rozległe środki i mo-

żność wywierania szerokiego wpływu na sprawy społeczno-ekonomiczne; jego wszakże właściwością i zasługą była dobra wola, tęgi charakter, rzeczywiste przywiązanie do zadań, które podejmował i szczera chęć służenia dobru publicznemu. Jako głowa rodu, rozporządzającego potężnymi kapitałami, jako prezes dróg żelaznych i instytucyj finansowych, miał sposobność okazywania swych uzdolnień i zalet w szerokiej mierze — i rzeczywiście je okazywał. Kto go nie sądził ze stanowiska jakiejś drobnej sprawki, lecz w całej działalności, ten musiał mu przyznać wielką wartość i piękny charakter. Rozumny, poważny, energiczny, dostępny, nie otaczał się obłokami Olimpu wielkopańskiego, nie spoglądał wokoło siebie ze szczytów pychy i próżniaczego zbytku, lecz chciał rzeczywiście być i był pożytecznym dla ludzi. Tylokrotnie innym składano na grobie niezasłużony wieniec zasługi względem Kasy Mianowskiego, że należy tu przypomnieć, że on wraz z J. Natansonem głównie przyczynił się do powstania jej. Szkoda tego człowieka, szkoda tylu lat, które spędził w pasowaniu się z zabójczą chorobą, zamiast w owocnej pracy.

Przekłady.

Wpatrując się w fizyognomię naszego ruchu wydawniczego, niepodobna nie spostrzedz paru, zaiste smutnych objawów. Łożysko tego prądu jak gdyby zdradzało dążności w kierunku zmniejszenia swoich rozmiarów, przedewszystkiem zaś zaczynają unosić się nad niem wyziewy, niezbyt dodatnio świadczące o czystości i zdrowiu potoku wydawniczego. Nie mówię już o pracach swojskiego pióra, nie dlatego, ażeby one nie nastręczały powodu do uwag, ale dlatego, że chcemy tę sprawę zachować sobie do innej chwili. Na razie rozejrzymy się jedynie w tłomaczeniach. Przyznam się, iż nie pamiętam już tej chwili, kiedy na półkach księgarskich widywałem szeregi porządnych książek, tłomaczonych z obcych języków. Pomijając naukowe dodatki do pism peryodycznych, zwykle wychodzą prace nader małej wartości. Najczęściej są to drobne broszurki bardzo pobieżnej treści, ale odznaczające się tem, że przy czytaniu ich nie trzeba zgoła suszyć głowy: nie zawierają one żadnej filozofii i są niby publicystyczno-kuryerkowym artykułem w formie broszurkowej. Nadto, pod szatą naukową coraz częściej przemycaną bywa pornografia albo coś, co wydaje pokrewne odory. Znamy w literaturze zagranicznej mnóstwo drobnych, lecz cennych książek, których spolszczenie przyniosłoby naszemu krajowi istotny pożytek. A tymczasem nadaremnie czekają one na to. Natomiast mistrz blagi naukowo-pornograficznej, Montegazza, bodaj czy nie bywa corocznie tłomaczony na nasz język. Zaledwie coś wyda nowego, a już jeden księgarz przed drugim spieszy z przekładem. I teraz, zaledwie wyszła rzecz nowa: „O sztuce szukania żony," zaraz ogłoszono, że ukaże się ona niebawem w naszym języku. Inną, świeżo zapowiedzianą w tłomaczeniu książką jest olbrzymi pamflet Lombrosa przeciwko kobiecie: „Kobieta zbrodniarka." Wydawca znalazł się odrazu, mimo że rozmiary dzieła powinny go odstraszyć. „Kobieta-zbrodniarka" — to tyle szczegółów, faktów, wycieczek, działających na pewną stronę naszych zmysłów!.. Dawniej nie lubiliśmy czytać. I dzisiaj nasze społeczeństwo nie stało się innem, ale przed dziesięciu laty nie było tyle śmiecia pod pozorami wiedzy. *W.*

Nowe udogodnienia.

Przedsiębiorstwa kolejowe w ostatnich czasach coraz bardziej starają się uwzględniać potrzeby podróżnych. Między innemi, zapowiedziano świeżo trzy bardzo ważne udogodnienia: Jedno dotyczy usunięcia tych strasznych pudeł na kolei Terespolskiej, tj. wagonów, zamykanych z boków po obu stronach. Podróżny, raz dostawszy się pod klucz konduktora, nie mógł już z tej uwięzi wydostać się, aż na stacyi następnej nawet w najgwałtowniejszej potrzebie. Nadto, jeżeli był znużony i mając miejsca dosyć, położył się, to znowu groziło mu niebezpieczeństwo rozbicia czaszki lub przetrącenia nosa tłomokami nowych podróżnych. Stacye bowiem są po obu stronach linii, więc odpowiednio do tego drzwi bywają otwierane, prawe albo lewe. Otóż nadal pasażerowie nie będą potrzebowali przytykać głów do owych drzwiczek, ale, co ważniejsza, w kl. III nawet otrzymają ławki rozsuwane na noc. Drugą ważną dogodność otrzymają prawdopodobnie na wszystkich liniach podróżni trzeciej klasy, przerzucający się na odległe krańce państwa. Mają to być wagony bezpośredniej komunikacyi, nie wymagające przesiadania na stacyach węzłowych. Wreszcie trzecie udogodnienie ogólne — prawo noclegu na stacyach węzłowych.

Jaką ma doniosłość ten warunek, ocenić mogą ci tylko, którzy dużo jeżdżą. Dla jaśniejszego przedstawienia obrazu, z własnych przygód przytoczyć mogę parę faktów: Na wielkiej stacyi Chwastów, gdzie się łączą dwie ważne arterye: linia kolei Południowo-Zachodnich i droga Chwastowska, zmuszony byłem kilkakrotnie, czekając na pociąg godzin dwanaście, nocować o kilkadziesiąt kroków od obszernego dworca w ohydnej dziurze, plugawej, pełnej robactwa. Nie zapomnę zaś nigdy tej nocy, kiedy porzuciwszy łoże o ruchomej, żywej powierzchni, musiałem godzin kilka skulony przeleżeć na gołym krótkim stoliku, a mój towarzysz — na tłomoku i dwu stołkach złamanych. Odtąd, gdy mi wypadało przesiadać na tej stacyi, wolałem jechać na noc o 60 wiorst dalej... do Kijowa, ażeby nazajutrz zrana wrócić tam, czyli przebyć 120 wiorst zbytecznych dla tego tylko, że na sali dworca nie wolno było zaczekać od pociągu północnego do południowego. Zdarzyło mi się również noc spędzić w ciasnej izbie wraz ze stałymi jej mieszkańcami (liczną rodziną żydowską) śród niemożliwych wyziewów, również o kilkadziesiąt kroków od dworca stacyi Bachmacz na przecięciu dwóch ważnych linii: Libawsko-Romeńskiej i Kursko-Kijowskiej. Z tych faktów łatwo teraz czytelnicy ocenią nowy przywilej noclegu dla pasażerów na dworcach stacyi węzłowych. *Zn*

Przytułek warszawski.

Co robią kobiety bezdzietne, średnio lub mniej niż średnio zamożne po stracie mężów, albo panny starzejące się, osierocone? Różnie bywa: jedne zakładają sklepiki, drugie umieszczają zaoszczędzoną gotówkę na jakichś hipotekach po to, ażeby nie oglądać już nigdy ani procentów, ani sumy, inne wreszcie szukają posad inkasentki, kasyerki itd., naturalnie ze złożeniem kaucyi, która także bardzo często topnieje w interesie „chlebodawcy." Zresztą jest bodaj największa liczba takich, które niestykając się bliżej z życiem praktycznem ani za czasów panieństwa, ani za życia głowy domu, czerpią nieoględnie ze swej kiesy, potem z pudełek biżuteryjnych, wreszcie szukają łaskawego chleba lub służby, jeżeli są zdolne do niej. Jak temu zaradzić? Dotąd filantropia u nas nie otaczała jeszcze opieką ludzi średnio zamożnych. Obecnie myśl tę, poruszaną już niegdyś w paru pismach, ktoś podsuwa ogółowi w *Kuryerze warszawskim* i powołuje się dla zachęty, na urządzenia zagraniczne, wskazuje owe wykwintne azyle amerykańskie, gdzie za naciśnięciem dzwonka zjawia się służba i dostarcza wszystkiego na skinienie. Sala stołowa, sala z fortepianem, czytelnia do zgromadzeń ogólnych itd. Słowem, zamiast trosk powszednich zjawia się rajskie życie; kobiety przed tem zdolne tylko do wegetacyi, życia jałowego, plotek, przesiadywania po kościołach lub na kawkach księżowskich, nagle przedzierzgają się w energiczne działaczki; zamiast wymyślać sługom, wieczną z niemi wojnę prowadzić, krzewią śród nich moralność i oświatę; zamiast chowania pinczerków, wychowują sieroty i opiekują się niemi. I to wszystko robi ów dom cudowny, że tak powiemy, klasztor świecki! Niewątpliwie w takim zakładzie utrzymanie może kosztować znacznie taniej niż osobno, być może zresztą, że kobiety w azylach amerykańskich, w Anglii i Czechach różnią się wielce usposobieniem i charakterem od naszych niewiast. Skoro są one tam do usług publicznych, nawet bez zachowania tego warunku — wspólnego schronienia. My wszakże nie możemy jakoś wyobrazić sobie tej cudownej zmiany pod wpływem komfortu i wspólnego pożycia; nie możemy przedstawić tej grupy kobiet bez małostek, swarów i plotek. Stosownie do swych funduszów, mają one dostawać pokój większy lub mniejszy, osobny lub wspólny; stół zaś — ogólny. Zdaje się wszakże, iż na tym punkcie byłyby już poważne spory: „Ja mam 75 rs. miesięcznie, a pani tylko 40 i jadamy to samo, podczas gdy ja powinnam jeść cały obiad z legominą i kawą czarną, a pani, stosownie do swych środków, tylko zupę i sztukę mięsa." Zdaje się, iż takie uwagi i rozterki pochłaniałyby więcej czasu, niż umoralnianie sług i uczenie sierot. Zamiast więc wzdychać do tej dobrodziejki — wdowy, któraby ufundowała azyl warszawski, czy nie korzystniej byłoby wołać o gruntowniejszy podkład wychowawczy dla naszych kobiet, który dałby im większą niż obecnie sumę zaradności w życiu? *Zn.*

W DALI.

Kontrakty kijowskie. Układy handlowe z Niemcami, nieukończone w chwili, gdy doroczny jarmark kijowski był już w całej pełni, podziałały paraliżująco na cały bieg interesów. Już od lat kilku handel zbożowy w guberniach południowo-zachodnich szwankuje; stąd wynika upadek cen ziemi i czynszów dzierżawnych, tudzież owo charakterystyczne zjawisko, że nie dzierżawcy poszukują majątków, lecz te ostatnie dzierżawców. Wszystkie strony interesowane zajęły stanowisko wyczekujące, a osią główną interesów były właśnie owe układy z Niemcami. To też zboże sprzedawali tylko ci, którzy gwałtownie pieniędzy potrzebują. Umowy na ziarno ze zbiorów przyszłych szły niezmiernie słabo; jeżeli zaś je zawierano, to z zastrzeżeniem, że różnica ceny przy dostawie w stosunku do obecnej spada na sprzedającego, albo też zwraca on zadatek z doliczeniem 12%.

Ze świata cukrowniczego wieje siła i życie. Dobre dywidendy za ubiegłą kampanię tudzież pomyślne warunki obecnego okresu wytwórczości, wynikające w znacznej mierze z coraz większego uzależniania plantatorów — wszystko to działa podniecająco na wytwórców cukru i zachęca do wznoszenia nowych fabryk.

Na brak cen nie mogą narzekać właściciele materyału budulcowego; wyczerpuje się on coraz bardziej, szczególnie las dębowy; stąd przewidzieć łatwo, że wkrótce ceniony będzie na wagę złota.

Wogóle owe słynne „kontrakty kijowskie" mają swój odrębny charakter, jakim żadne inne jarmarki czy zjazdy nie odznaczają się. Kijów jest ogniskiem interesów olbrzymiej produkcyi, rozpostartej na szerokim pasie czarnoziemu. Do tego źródła dążą liczne i różnorodne tłumy, ale nie po to, żeby tam wyczerpać i całkowicie załatwić interesy. Jeżeli chodzi o kupno, sprzedaż, dzierżawę itd., interes bywa zwykle zaczęty gdzieś w dalekim zaścianku lub miasteczku i tu dopiero omawia się w głównych zarysach, po-

czem znowu realnie zarysowywa się i wykończa dopiero na gruncie. Tym sposobem owa uroczystość jarmarczna, nosząca z pozoru charakter publiczny, jest w większości ściśle prywatną. Interesy najważniejsze załatwiane są nie na jakiejś giełdzie publicznej, ale w mieszkaniach hotelowych. Nową postacią „kontraktów“ po za sferą interesów ziemiańskich i cukrowniczych, jest jarmark towarowy na przedmioty drobne. Zjeżdżają tu w tym celu przedstawiciele firm łódzkich i wielu innych z odległych stron państwa.

Na tle ostatnich kontraktów dodatnio się zarysowywa fakt następujący: Pracownicy cukrowni w kraju południowo-zachodnim postanowili założyć kasę emerytalną przy kijowskiem Towarzystwie techników lub biurze cukrowniczem. Kapitał utworzy się z wkładów miesięcznych w stosunku procentowym do pobieranego wynagrodzenia tudzież z pewnych potrąceń od czystego zysku fabrykantów. Kasa wydawać ma pożyczki krótkoterminowe oficyalistom, pozostającym czasowo bez zajęcia. Projektowi temu podobno cukrownicy są przychylni.

Lublin. Miasto, jak wszystkie prowincyonalne, nie słynie z wzorowego porządku, szczególnie na targach. Otóż uporządkowanie ich jest obecnie przedmiotem uwagi interesowanych, z powodu opracowanego projektu przez jednego z miejscowych budowniczych, wedle wskazówek władzy gubernialnej. Przedewszystkiem chodzi o zniesienie budek drewnianych, gdzie na ścianach, niemytych po roku, rozwieszane jest mięso, a na szkaradnie zanieczyszczonych stołach inne produkty spożywcze. Według nowego planu, plac będzie otwarty o dwóch wjazdach, obsadzony drzewami, nizko ogrodzony; staną budynki schludne, według wymagań zdrowotnych, nadto urządzone będą stoły dla przekupniów, z numerem i nazwiskiem właściciela, dla łatwiejszej kontroli i ochrony publiczności od wyzysku. Targ główny obok magistratu również będzie uporządkowany. Wobec zbliżającej się pory epidemicznej, środki takie zasługują na wielką baczność i szybkie wykonanie, tem bardziej że Lublin, jak wiadomo, stanowi najpodatniejszy grunt dla zarazy. — Według statystyki urzędowej w r. 1892 gub. lubelska posiadała 569 zakładów naukowych: 1 wyższy (instytut nowoaleksandryjski), 7 średnich (gimnazya, progimnazya męzkie i żeńskie, szkoła Maryjska żeńska w Chełmie), tudzież 566 szkół elementarnych (miejskie i wiejskie, niedzielno - rzemieślnicze, szkółka handlowa, szkoły prywatne, szkoła 2-klasowa żydowska, kantoraty ewangielickie i hedery). Prócz tego istnieją w gubernii: seminaryum nauczycielskie ze szkołą wzorową, dwa seminarya duchowne (prawosławne i katolickie) i jedna szkoła duchowna prawosławna. Liczba młodzieży szkolnej obojej płci we wszystkich zakładach wynosiła ogółem 26,842; cyfra zakładów naukowych w porównaniu z rokiem poprzednim zwiększyła się o 28, natomiast zamknięto 5 prywatnych. Liczba uczniów i uczenic zmniejszyła się w porównaniu z r. 1891 o 1258. Jedna szkoła przypada na 1961 mieszkańców, jeden zaś uczeń przeciętnie na 41 mieszkańców. W stosunku do obszaru — jeden zakład naukowy na 25,75 wiorst kwadratowych. — Z d. 1 kwietnia rozpoczęła się pod Lublinem budowa fabryki cementu. Nad wydobywaniem wapienia pracuje po 100 robotników dziennie.

Dąbrowa Górnicza. W zakresie wychowawczym daje się tu spostrzegać charakterystyczne zjawisko. Miejscowe szkoły w każdej porze roku są przepełnione. W elementarnej męzkiej (Huta Bankowa) jest około 300 malców pod opieką dwóch nauczycieli; w żeńskiej (tamże) dwie nauczycielki pod dozorem swym mają przeszło 200 dziewcząt; również w szkole żeńskiej na Redenie jedna nauczycielka uczy około 100 dziewcząt; w dwuklasowej szkole męzkiej (tamże) czterech nauczycieli podzieliło pracę nad 500 chłopcami. Jak widzimy, zadanie nauczycieli przy tak znacznej liczbie dziatwy jest wielkie, więc niepodobna przypuszczać, ażeby w takich warunkach wykładana nauka przynosiła pożądane rezultaty. Przytem uczniowie i uczenice nie przedstawiają materyału podatnego dla pedagogów. Puszczone samopas, bez opieki rodziców, wiecznie zajętych pracą po za domem, stanowią typy t. zw. łobuzów ulicznych. Pedagogia, niezmiernie trudne i zawiłe pole, wymagające, jak chce Björnson, „talentów etycznych,“ jest tu w warunkach pracy niezmiernie mało owocnej. Oprócz powyższej, istnieje jeszcze dwuklasowa pensya prywatna. Wreszcie w zakres nauki elementarnej wchodzi otwarta w roku ubiegły obok dawnej męzkiej szkółka żeńska na „Ksawerze“ dla dzieci górników tam zamieszkałych, pracujących w kopalniach „Paryża“ i „Koszelewie“ Towarzystwa francusko-włoskiego. W Będzinie od nowego roku otwarto pensyę prywatną dla dziewcząt. W Sosnowcu szkole „Aleksandryjskiej“ przy fabryce Dietla nadano szersze prawa dla uczniów i profesorów, zakres wykładu rozszerzono w stosunku trzech klas szkół technicznych. Dzieci robotników powyższej fabryki kształcą się bezpłatnie. Dla młodzieży uczącej się w osadach fabrycznych wielką klęską i przeszkodą jest komunikacya. Na ulicach niebrukowanych, podczas słot jesiennych, zimowych i wiosennych tonie dziatwa po prostu w błocie. To też wiele z tego powodu opuszcza naukę.

SPRAWY EKONOMICZNE

STOWARZYSZENIE KOBIET FACHOWYCH.

Przed dwudziestu laty zawiązało się w Warszawie kółko „pań-filantropek“ dla poprawienia doli biednych szwaczek. Pisano wtedy o tem i rozprawiano bardzo szeroko; ułożono nawet statuty, ale gdzie się one podziały — nie umieją dziś powiedzieć nawet ci, którzy w tem czynny udział brali. To też gdy w zimie ubiegłej podano wniosek dopuszczenia kobiet do cechu krawieckiego, byliśmy w obawie, ażeby się z nim nie powtórzyła ta sama historya, co z powyższym i wielu innymi projektami. Sprawa ta wszakże jest dziś już tak poważnie i szczerze traktowana i wprost zmierzająca do czynu, że nie można wątpić o jej utrwaleniu się w życiu. W chwili więc gdy ślad działania zaczyna się zaznaczać widocznie, gdy ludzie fachowi i niefachowi wypowiedzieli swoje zdania, postanowiliśmy całokształt kwestyi zarysować i możliwie ją wyczerpać.

W szeregu głosów były sądy naiwne, pobieżne lub zanadto różowe; ale każdy z nich we właściwy sobie sposób ocenił doniosłość sprawy. Tem bardziej więc razi jeden jedyny, dziwnie lekki i powierzchowny głos Prusa, który przecież niejednokrotnie wykazał głębokie pojmowanie potrzeb życiowych. „Nie jesteśmy w stanie pojąć, jaką specyalną rolę odgrywa — płeć pracownika i z jakiej racyi dla sześciu kobiet, zapisanych do cechu, mają być zniesione ustawy?“ Gdyby p. Prus, jak na rzetelnego publicystę przystało, czuł się w obowiązku dokładnego zapoznania się z przedmiotem, gdyby potrafił wniknąć w warunki pracy kobiet, zrozumiałby wtedy, jaką rolę w obecnym stanie rzeczy płeć pracownika odgrywa i nie lękałby się, ażeby z czasem po sprawie kobiecej w cechach nie zjawiła się sprawa mężczyzn blondynów lub chłopców 15-letnich (co do tych ostatnich, jest to również ważna kwestya uczniów i terminatorów i już nawet przed kobietami była na porządku dziennym. Fejletonista więc, chcąc użyć dowcipnego porównania, wykazał ponowną .. lekkość).

Zobaczmy, czego Prus nie dopatrzył w owych obradach z „bukietem dziesięciu dam.“ Zebrały się one na posiedzeniu sekcyi rzemieślniczej, jako przedstawicielki komitetu kobiecego, po to, ażeby wyjaśnić wiele stron niewyraźnych, usunąć zawiłe ogólniki, słowem — wytknąć pracownicom szeroką i równą drogę do zgromadzeń cechowych. Nie bawiły się one tam, a co ważniejsza — nie dały się zbytnio porywać obrazom przyszłego raju, rozsnutym przez niewyczerpanego mówcę, p. Juszczyka; przeciwnie — on sam uniósł się własną wymową w tonie wysoce protekcyjnym: „Będziecie ʻmiały dolę lżejszą; cech was uzdolni do pracy, zapewni jej lepsze warunki, otoczy was opieką ojcowską. Chcecie biura pracy? — Nie trzeba! Gospoda je zastąpi. Ona was przygarnie. Sierota bezdomna niech zakołacze, a będą podwoje otwarte, nocleg, strawa i opieka się znajdzie.“ Delegatki nie żądały, jak utrzymuje Prus, ażeby p. Juszczyk stworzył nową ustawę, nie uznały go ani za prawodawcę, ani dobroczyńcę i nie uwierzyły nawet tym pięknym obietnicom. Bo jakże mogły uwierzyć, jeżeli w rzeczywistości fakty co innego wykazują? Niech p. Juszczyk powie nam, co się dzieje z ową masą pracowników płci męzkiej, dla których gospoda swych podwoi nie otwiera? Niech wskaże przyczynę, dlaczego w organizacyach cechowych nie idzie tak składnie, jak w słowach?

P. Juszczyk zna doskonale przyczynę (przynajmniej w pewnej mierze) owych braków, ale potrąca o nie tylko lekko lub dyskretnie je usuwa. Otóż dziś, gdy już nie sześć kobiet, lecz znaczna ich rzesza przystępuje do cechu, gdy nienależenie do korporacyi grozić nawet będzie zapisaniem szwaczek do rzędu sług, rozpatrzmy się w samem podścielisku naszych stowarzyszeń rzemieślniczych i wskażmy warunki, których naprawa, przynosząc ogólną korzyść wszystkim grupom rzemieślniczym, jednocześnie wpłynęłaby pomyślnie na korporacye kobiece pod skrzydłami cechów. Przy takim bowiem stanie rzeczy, jak obecnie, niewiele one zyskają pod owym protektoratem, jeżeli sobie nie wywalczą jakichś osobnych drzwiczek lub wyłomów w murze skamieniałym prawie od ośmiu dziesiątków lat. Przedewszystkiem dla tego, kto jako tako obeznany jest z dziejami cechów i ich ustawą, przygarnięcie kobiet nie wydaje się jakąś szczególną wspaniałomyślnością, łaską ze strony zgromadzeń, jakkolwiek od dawien dawna w świecie -rzemieślniczym panował pewien antagonizm względem pracownic i lekceważenie ich trudów.

Jeszcze przed ustawą, r. 1811, piotrkowskie akta cechu krawieckiego podają następujące szczegóły, wielce znamienne: W podaniu, wniesionem do burmistrza dnia 12 stycznia 1811 r. żądają pp. krawcy, „aby białogłowom (Pomorskiej, Rychłowskiej, Komierowskiej i Chodakowskiej) burmistrz robót zakazał, lub do opłat miejskich, usług i wart zaciągnął, bo te panie dlatego, że trudnią się krawiectwem, przyrównać można politycznie do wydzierających majątek ludziom.“ Pociągnięte do protokółu, tłomaczą się one przeważnie nędzą: to mężowie z wojskiem poszli i żyć z czego niema, to matki stare utrzymywać należy. Twierdzą, że tylko od biednych robotę mają, że szyciem bielizny jedynie się trudnią, że majstersztyku zrobić nie umieją. Tym sposobem ze względów konkurencyjnych krawcy chcieli pociągnąć szwaczki pod skrzydła swego „kunsztu.“ Nie podzielały atoli ich żądań zupełnie sfery administracyjne, bo oto już po wprowadzeniu ustawy z r. 1816, Kom. Rząd. Spr. Wew. i Policyi przez reskrypt z d. 1 czerwca 1821 r. (Nr. 339/1204) dozwoliła kobietom trudnić się krawiectwem, bez obowiązku należenia do cechów *).

Zajrzyjmy teraz, chociaż pobieżnie, do ustawy rzemieślniczej. Istnieje ona u nas, jak wiadomo, od r. 1816, bez najmniejszej zmiany, podczas gdy ogólne warunki bytu

*) „Cechy rzemieślnicze.“ przez G. L. Warszawa, 1892.

i pracy zmieniły się znacznie i rozwinęły szerzej. Nie idzie zatem, ażeby zupełnie nową ustawę tworzyć; należałoby tylko wiele paragrafów rozjaśnić i uzupełnić, tem bardziej, że niektóre z nich są albo stosowane mylnie, albo też w ciągu niespełna lat 80-ciu nie znalazły się wcale w praktyce życiowej. Przed laty dziesięciu zrozumiała tę potrzebę garść bystrzejszych przedstawicieli rzemiosł w łonie Oddziału Tow. pop. rusk. prz. i h. i stworzyła delegacyę, do której dla narad powołano także 18 czeladników. Liczne wówczas odpowiedzi na zarządzoną ankietę, nadesłane przez zgromadzenia rzemieślnicze, grupy czeladnicze, pojedynczych rzemieślników, fabrykantów i inne osoby, wskazały cztery zasadnicze potrzeby: większe wykształcenie rzemieślnika, fachowe i ogólne, silniejsza spójnia korporacyjna pomiędzy rzemieślnikami, zabezpieczenie ich bytu w razie choroby i starości, dogodniejszy i szybszy wymiar sprawiedliwości w sprawach stosunków wzajemnych pomiędzy rzemieślnikami. Po zebraniu odpowiedniego materyału, delegacya przyszła do przekonania, iż szereg powyższych żądań dałby się urzeczywistnić za pomocą wprowadzenia obowiązkowych stowarzyszeń, które dla usunięcia zawiłych dróg, najlepiej byłoby oprzeć na przepisach istniejących, lecz znacznie przekształconych. Jakoż opracowano nową ustawę, której główne artykuły przekształcone z ustawy poprzedniej w ogólnych zarysach tak się przedstawiają: Większe fachowe wykształcenie rzemieślnika da się osiągnąć przez pociągnięcie wszystkich zajmujących się rzemiosłem do składania egzaminów fachowych (§ 132), przez utworzenie w zgromadzeniach oddzielnych delegacyj egzaminacyjnych (§ 49, 119), zwolnienie od egzaminów i terminowania osób, kończących szkoły fachowe (§ 49), zwiększenie kar i odpowiedzialności majstrów za nieposyłanie do szkół (§ 26) i przez włożenie na zgromadzenia obowiązku zakładania warsztatów instrukcyjnych. Zabezpieczenie pracownika, w razie choroby lub starości i kalectwa, ustawa chce uskutecznić przez urządzenie kas pomocy, do których wszyscy rzemieślnicy obowiązkowo należeć muszą i opłacać oznaczone składki, pod rygorem dochodzenia zaległości jaknajkrótszą drogą administracyjną, rządową (§ 112, 113, 114). Dla szybszego wymierzania sprawiedliwości (§§ 141, 142, 143) ustawa wprowadza sądy rzemieślnicze, złożone z majstrów i towarzyszy, które rozstrzygać mają wszelkie spory, wynikające ze stosunków pomiędzy majstrami a czeladnikami tudzież pomiędzy urzędami starszych a członkami zgromadzeń i pomiędzy zarządami kas pomocy i ich uczestnikami. Nowa ustawa nadto dążyła do postawienia zarządów zgromadzeń rzemieślniczych w możności samoistniejszego działania (§§ 9, 11, 12), do moralnego podniesienia czeladników i społecznego ich zrównania z majstrami (§§ 3, 66, 106, 107). Wreszcie chodziło o lepsze ubezpieczenie praw uczniów i silniejszy wymiar kar na majstrów, nieodpowiednio traktujących chłopców swoich (§§ 13, 17, 26, 29, 31, 48 i następne), zwolnione od obowiązku terminowania (§ 48) i — odpowiednio do zamożności, większy współudział majstrów w instytucyach pomocy, szczególnie ustanowionych dla dobra czeladników.

Co do silniejszej spójni, ustawa zamierzała osiągnąć ją przez tworzenie zgromadzeń majstrowskich i czeladniczych, z delegatami jednych na posiedzeniach drugich i odwrotnie (§§ 3, 66); przez organizacyę zgromadzeń powiatowych (§ 1), przez wspólne zarządy rzemieślnicze dla wszystkich zgromadzeń w powiatach (§ 133) i wreszcie — za pomocą obowiązkowego należenia do zgromadzeń wszystkich osób, zajętych rzemiosłem, *bez różnicy płci* i wyznania (§ 132). Paragraf ten w dosłownem brzmieniu wedle ustawy z r. 1816 jest następujący: „*Nikomu* pod żadnym pozorem przyjęcie na majstra odmówione być nie może, kto warunkom żądanym zadość uczyni.“ Nowa ustawa rozwija i wyjaśnia ten artykuł w taki sposób: „Wszyscy oddani pracy rzemieślniczej *bez różnicy płci* i wyznania, *należeć muszą* do zgromadzeń rzemieślniczych, jako: uczniowie, towarzysze lub majstrowie. Wyjątek stanowią osoby, zajmujące się drobnym czyli domowym przemysłem (podług ustępu 2, art. 70).“ O kobietach ustawa z r. 1816 mówi jeszcze w innych paragrafach; tak np. § 32 w razie śmierci majstra pozwala rzemiosło prowadzić nadal wdowie.

Nowa ustawa, jakkolwiek pod wielu względami pozostawia jeszcze dużo do życzenia (w jednych miejscach rozwija i wyjaśnia wykład prawa dawniejszego, w innych nieco go zaciemnia przez uogólnianie) jednakże więcej jest zbliżona do potrzeb istotnych, więc też żałować trzeba, że po wielkich trudach i zabiegach, gdzieś uwięzła i poszła w zapomnienie. Gdyby dzisiaj wydobyto ją z kurzu i jeszcze raz przejrzano, odpowiednio do potrzeb, to możeby kobiety nie potrzebowały żądać oddzielnej korporacyi, lecz tylko pewnych dla swej płci uzupełnień. Ustawa powyższa wskazuje, że mogą one, bez szczególnej łaski zgromadzeń, należeć do wszystkich cechów. Na posiedzeniu sekcyi z udziałem kobiet słusznie zwrócono uwagę, że cech tkaczy tak jest mały liczebnie, iż chcą go zamknąć; otóż można byłoby wzmocnić tę korporacyę przez udział koronkarek i pończoszniczek. Cukierniczki mogą także się przyłączyć do cukierników. Dalej są jeszcze introligatorki, kamaszniczki itp. W niektórych cechach byłoby nawet więcej kobiet niż mężczyzn; tymczasem pierwsze odrazu mają być skrępowane w niektórych przywilejach. To też ów „bukiet dam“ wystąpił z żądaniem pewnych ustępstw, między innemi — prawa udziału w wyborach i głosowaniach (żądania te głównie wyraziły pp. Z. Daszyńska i Reinschmidt-Kuczalska) i to właśnie wydało się najśmieszniejszem Prusowi i niektórym sprawozdawcom dziennikarskim, którzy na posiedzeniu owem drwiąco półgłosem wymyślali od „emancypacyi.“

O powyższych przywilejach dla kobiet ogólne prawo nic nie mówi, słusznie więc p. Daszyńska żądała zostawienia kwestyi otwartej. W praktyce nie wiele mamy faktów w tej mierze. Warszawskie Towarzystwo kredytowe miejskie przyznało kobietom prawo głosowania (właścicielkom nieruchomości, o ile są samodzielne). Ale w życiu nie skorzystały one z tego prawa; posiedzenia odwiedzały tylko „na gapia.“ Towarzystwo kredytowe ziemskie w ostatnich czasach, o ile przypominamy, również nadało kobietom przywilej w tej mierze. Mają one jeszcze prawo zabierania głosu w Towarzystwie ogrodniczem. Zresztą nie przypominamy żadnych stowarzyszeń u nas, gdzieby głos niewieści ważył i w wyborach stanowił.

Bądź co bądź, o tyle rzecz się wyjaśniła, że w poszczególnych sprawach cechowych kobiety będą miały głos.

Niektóre z interesowanych żądają nie wcielenia pracownic do cechu, lecz — stowarzyszenia wzajemnej pomocy, które między innemi miałoby na celu fachowe wykształcenie szwaczek i „krawczyń“ (utworzenie szkoły odpowiedniej), biuro rekomendacyi pracy, na wzór pracowników handlowych, „umoralniające zabawy i rozrywki.“ Widzimy zatem tutaj chęć pewnego odosobnienia się; szwaczki pragną stowarzyszenia wyłącznie dla siebie, podczas gdy są jeszcze przecież inne pracownice fachowe. Takie rozproszenie sił nie doprowadziłoby do celu. Praca wytwórcza, a z nią interesy przemysłowo-handlowe połączyły obie płcie przy wszelkich warsztatach produkcyi. O wiele zatem pożyteczniejszy być może ogólny łącznik korporacyjny, z pewnym szeregiem wyodrębnień czysto gospodarczych: osobne oddziały kas, osobne rachunki itd. Istnieją wprawdzie oddzielne związki niewieście, np. stowarzyszenie guwernantek w Moskwie, ale nie można tego brać za wzór dla ogółu pracownic fachowych, których w samej Warszawie jest kilkadziesiąt tysięcy. Kobiety nie stworzyły ani wybitnie wyróżniającego się, mocnego odłamu przemysłu, ani rynków osobnych; słowem, nie mają swego państwa wytwórczości. Produkcya jest bezpłciowym organizmem wielce skomplikowanym, a więc jej podstawy — praca ludzka powinna swe interesy skupić na podścielisku organizacyi w granicach możliwie najszerszych. Ustawa cechowa jest pierwiastkiem. Należy tylko wykonać działanie odpowiednie, tj. daną sumę przepisów podnieść do potęgi potrzeb życiowych, a znajdzie się miejsce i na wykształcenie fachowe, pomoc wzajemną, stręczenie pracy i regulowanie stosunków. Dziś ta ustawa jest częstokroć dowolnie tłomaczoną i stosowaną, przeważnie na korzyść interesowanych, tj. p. starszych. Nie mozolmy się zatem nad wyszukiwaniem nowych przepisów, skoro jest wzór gotowy; trzeba go tylko rozwinąć i wzmocnić środki posługiwania się nim w praktyce.

Zen. Piet.

KRONIKA.

Sprawy społeczne. Senat rządzący wyjaśnił, iż osoby pochodzenia ruskiego na służbie rządowej w Królestwie Polskiem, są zwolnione od obowiązkowego udziału w Stowarzyszeniu emerytalnem Królestwa w takim tylko razie, jeżeli zostały przeniesione lub powołane do służby nie z gubernii przyległych.

— Powiększono kredyt na utrzymanie korpusu leśniczych tudzież straży leśnej w państwie Ruskiem.

— Poruszono sprawę opodatkowania klubów na rzecz instytucyi dobroczynnych.

— Szlifierze-polernicy w Warszawie starają się o utworzenie osobnego cechu.

Koleje i komunikacye. Według *Kijowskiego słowa*, skarb wykupi wszystkie koleje, leżące na zachód od południka moskiewskiego; wschodnie pozostaną własnością prywatną. Koleje skarbowe Rosyi zachodniej podzielone będą na okręgi: warszawski, wileński, kijowski itd. Odnoga kolei Południowo-Zachodnich od Równa do Grajewa wraz z Nadwiślańską i Terespolską przyłączone będą do okręgu warszawskiego, odnoga Elisawetgrad-Birzula do Charkowsko-Mikołajewskiej i do okręgu charkowskiego. Do okręgu Kijowskiego wejdzie linia główna kolei Południowo-Zachodnich tudzież droga Chwastowska i część Kijowsko-Kurskiej, których zarząd mieścić się będzie w Kijowie. Po przejściu na rzecz skarbu kolei prywatnych, władzą ich zwierzchniczą będzie ministeryum komunikacyi, z wyjątkiem wydziałów handlowych, które przejdą pod ministeryum skarbu. Skup kolei Południowo Zachodnich zapowiedziano na 13 stycznia r. p. Akcyonaryusze Towarzystwa otrzymają przy likwidacyi przypuszczalnie po rs. 112 za akcyę 100 rublową.

— Wkrótce wchodzi w życie postanowienie departamentu poczt i telegrafów o zaprowadzeniu we wszystkich pociągach pasażerskich skrzynek do przewozu korespondencyi pocztowej.

Szkoły. Ministeryum dóbr państwa na próbę otwiera przy 10 szkołach ludowych dwuklasowych oddziały rolnictwa i gospodarstwa wiejskiego.

Odpowiedzi Redakcyi.

Panu Pawłowi Et w Moskwie. Adres: Zakopane (w Galicyi).

Panom W. O. i A. S. Uważamy to za istotne *prima Aprilis.*

OGŁOSZENIA.

Redaktor i Wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 25 Марта 1894 г.

Druk K. Kowalewskiego, ul. Królewska Nr. 29.